



Meredith Webber

Prezent od losu



ROZDZIAŁ PIERWSZY

W strugach deszczu, które czyniły parasol nieprzydatnym, pokonując błoto, mętną breję i smętną zieleń przed budynkiem nowego szpitala, Harry dopadł zadaszonego wejścia.

Szerokie przeszklone drzwi otworzyły się bezszelestnie. Wszedł do holu, stąpając ostrożnie po matach rozłożonych na grubej plastikowej folii chroniącej nową wykładzinę i rozchodzącej się w różnych kierunkach. Harry - odpowiednio wcześniej poinstruowany - skierował się prosto do drzwi, na których widniał napis Biuro Kierownika Administracyjnego.

Jednak mężczyzna, który skinieniem głowy zaprosił go do środka, nie był kierownikiem administracyjnym, lecz samą najwyższą władzą szpitala - człowiekiem, który go zbudował i był jego właścicielem.

Jednym słowem, był to Bob Quayle we własnej osobie!
- Harry! Jakże się cieszę, chłopcze! Nieskazitelnie elegancki szpakowaty pan wstał zza

biurka, okrążył je z wyciągniętą na powitanie ręką, by zaraz potem przyjaźnie objąć gościa ramieniem.

- A więc wreszcie wróciłeś do najlepszego kraju na świecie! Krażą pogłoski, że wkrótce będziesz najbardziej poszukiwanym chirurgiem plastycznym w Queensland.

- Widać jesteś lepiej poinformowany ode mnie, Bob. Rozpoczęcie praktyki wymaga czasu. Najpierw muszę zdobyć zaufanie lekarzy pierwszego kontaktu, podjąć pracę w szpitalu i wyrobić sobie nazwisko.

- Och, wystarczy, że ludzie dowiedzą się o twoich wyłącznych prawach do prowadzenia praktyki w najnowocześniejszym prywatnym szpitalu na cały południowo-wschodni region, i sami zaczną do ciebie tłumnie walić - zapewniał Bob. - Summerland przestaje być tylko letniskową miejscowością. Jest to jedno z najszybciej rozwijających się miast w stanie. A im więcej bogatych ludzi zamieszka w nowo budowanych strzeżonych osiedlach ciągnących się wzdłuż oceanu, tym liczniejszą będziesz miał klientelę.

Wiedząc, że Bob i tak go nie wysłucha, Harry zrezygnował z próby wyjaśnienia, że chirurgia kosmetyczna dla wybranych będzie stanowić tylko bardzo niewielką część jego pracy.

- Na razie, jak zauważyłeś - ciągnął Bob - zostaliśmy unieruchomieni przez deszcz i mamy trzytygodniowe opóźnienie. Właściwie pełną moc szpital osiągnie nie wcześniej niż za miesiąc, może półtora - dodał po namyśle.

Wiadomość ta nie zaskoczyła Harry'ego. Jadąc tutaj, domyślał się, dlaczego Bob chce się z nim widzieć.

- Nawet mi to odpowiada - zapewnił starszego pana. - Jestem w Australii dopiero od paru dni i muszę znaleźć mieszkanie, rozpakować rzeczy, kupić jakieś meble i urządzić się. Taka zwłoka jest mi nawet na rękę.

- Słuchaj, może mógłbym ci w tym pomóc - zaproponował Bob. - Mam dwa mieszkania, które udostępniam

odwiedzającym mnie przyjaciółom i krewnym. Oczywiście są umeblowane. Dlaczego nie miałbyś zamieszkać w jednym z nich, powiedzmy na trzy miesiące? Później zadecydujesz, co dalej.

Harry spojrzał uważnie na swego dobroczyńcę. Nie znał dobrze talentów Boba Quayle'a jako biznesmena, -ale instynkt mu podpowiadał, że to człowiek, który nie wykląda wszystkich kart na stół. Niemniej przyjęcie tej propozycji oszczędzi mu rozglądania się za lokum, no i szukania mebli. Nie uważał też, by za propozycją kryła się jakaś niemożliwa do spełnienia wiązana transakcja.

- To interesujące. Chętnie wynajmę to mieszkanie -powiedział, co Bob zbył machnięciem ręki.

- Nonsens! Przecież wiesz, że traktuję cię jak rodzinę! Czyżby? - zadumał się Harry, myśląc o prawdziwej rodzinie Boba - jego synu Martinie, który był jednym z dwojga najlepszych przyjaciół Harry'ego na uniwersytecie. On, Martin i Steph stanowili nierozłączną trójkę od pierwszego dnia studiów medycznych.

- Poza tym mógłbyś mi przy okazji wyświadczyć przysługę.

Bob urwał i popatrzył Harry'emu prosto w oczy.

- Przysługa za przysługę, innymi słowy. Nie chodzi o mieszkanie, broń Boże, ale o łóżko w szpitalu, które wynegocjowałeś w umowie. Wciąż nie wiem, jak mnie na to namówiłeś.

Harry poczuł się niezręcznie. Kiedy po raz pierwszy zapytał Boba o możliwość wolnego dostępu do sali operacyjnej i bezpłatnego korzystania od czasu do czasu ze szpitalnego łóżka, Bob dostrzegł w tym okazję do rozgłosu, jaki ten dobroczynny gest mógłby mu przynieść, ale ostateczne przekonanie go do pomysłu nie poszło łatwo i kosz-

towało Harry'ego wiele wysiłku. Czyżby nadszedł czas spłaty długu?

- Mieszkanie, które mam na myśli, znajduje się na dwunastej kondygnacji Dolphin Towers - ciągnął Bob jak gdyby nigdy nic. - To jeden z pierwszych budynków, które zbudowałem w Summerland na głównej ulicy centrum turystycznego. Na pierwszych trzech piętrach mieszczą się sklepy, stoiska handlowe i biura, a na parterze całodobowa przychodnia, obsługująca głównie turystów. Ostatnio pojawiły się tam pewne kłopoty finansowe i skończyło się na tym, że odkupiłem ją od właściciela. Moi księgowi zapewniają mnie, że to może być dochodowy interes, ale chociaż są oblatani w branży, nie mają pojęcia o prowadzeniu działalności medycznej. Pomyślałem, że dopóki nie zaczniesz pracy w szpitalu, mógłbyś się przyjrzeć tej przychodni, pokręcić się tam trochę, wczuć się w klimat i zorientować, jak to działa - od strony personelu, harmonogramu pracy, przepływu pacjentów i tak dalej. Zapłacę ci za to, oczywiście, i jeszcze dorzucę mieszkanie.

A więc instynkt mnie nie zawiódł, pomyślał Harry. Bob Quayle stopniowo odkrywa swoje karty.

- Chętnie ci pomogę, Bob - powiedział - ale od lat nie zajmowałem się medycyną ogólną i...

- Ale ja wcale nie chcę, żebyś wykonywał pracę lekarza - przerwał Bob. - Przyjrzyj się tylko, jak to funkcjonuje. Możesz porozmawiać z kierowniczką przychodni, a także korzystać z biurka w jej pokoju. Jesteś bystrym facetem!

Pracowałeś w całodobowych ośrodkach, tam zrobiłeś pierwszy stopień specjalizacji i zaoszczędziłeś pieniądze na wyjazd za granicę. Na pewno potrafisz ocenić, co tam kuleje. Oczywiście, dyskretnie. Mało kto wie, że jestem nowym właścicielem przychodni, i wołałbym, żeby tak pozostało. Chodzi mi głównie o personel.

Mimo pewnych podejrzeń - Martin często mówił o pokretnej naturze ojca - Harry nie dopatrywał się niczego niebezpiecznego w życzeniu starszego pana.

- Dobrze, przyjrzę się temu, chociaż nie obiecuję, że coś znajdę - odparł. - Czy wiążesz z tą przychodnią jakieś konkretne plany na przyszłość?

- Przede wszystkim żadnych komplikacji. Ale w dzisiejszych czasach trudno zwolnić personel. Gdybyś jednak dowiódł, że przychodnia jest nierentowna, miałbym powód, żeby ją nawet zamknąć.

Harry pokiwał głową. Tak, teraz przez Boba przemówił obrotny - jeśli nie pazerny - biznesmen! Pewnie chce wykorzystać lokal na coś, co mu przyniesie dużo więcej pieniędzy.

Rozmawiali jeszcze trochę - o przeszłości, przyjaźni Harry'ego z Martinem i o Doreen, żonie Boba, która załamała się po śmierci Martina. Następnie Bob dał Harry'emu numer telefonu kierowniczką, żeby mu pokazała mieszkanie i przychodnię, i w ogóle pomogła się zainstalować.

Brnąc w błocie po wyjściu ze szpitala, Harry pomyślał o ludziach, o których nie wspomniano w rozmowie - o Steph i jej córce Fanny.

Fanny, córce Martina.

Stephanie Prince otuliła córeczkę i pocałowała ją na dobranoc w czoło.

- Opowiedz, jak tatuś spadł z konia, kiedy byliście wszyscy na farmie u wujka Harry'ego - poprosiła Fanny.

Steph uśmiechnęła się do dziewczynki i pogłaskała ją po policzku. Czy dlatego, że mała nie знаła ojca, bardziej interesowała się historyjkami o jego wyczynach niż bajkami dla dzieci stosownymi do jej wieku?

- To było dawno temu - zaczęła - niedługo po tym, jak tatuś, wujek Harry i ja spotkaliśmy się pierwszy raz.

Dekroć wspominała tamte czasy i opowiadała o nich, słowa płynęły niemal automatycznie. Ja, Harry'ego i Martina połączyła na uczelni przypadkowa alfabetyczna bliskość nazwisk - Prince, Pritchard i Quayle. I wbrew wszelkim oczekiwaniom Martin, rozpuszczony jednak z bogatej rodziny, ona, dziewczyna z biednej dzielnicy, i Harry, który twierdził, że pochodzi z dalekiego zachodu, gdzie nie ma dobrych ani złych dzielnic, zostali przyjaciółmi, a wkrótce nierozłączną trójką.

Później, pod koniec studiów, zdarzało się, iż nie widywali się miesiącami, jeszcze rzadziej spotykali się podczas rocznego stażu na internie, ale ich więź przetrwała próbę czasu. Aż do...

Otrząsnęła się z mroków przeszłości i skoncentrowała i na opowiadaniu.

- No więc tatuś siedzi na tym koniu i udaje, że świetnie umie jeździć, kiedy wujaszek Harry pstryka palcami i na psa, który zaczyna szczekać tuż za kopytami konia. Koń staje dęba, a tatuś, który się tak przeraził, że puścił lejce, zsuwa się z siodła, przelatuje przez zad i ogon konia, i ląduje na tyłku.

Czteroletnia Fanny, w której słowo „tyłek” budziło niepohamowaną radość, zanosła się śmiechem, a Steph, której ostatnio daleko było do wesołości, poczuła przypływ miłości do ukochanej córeczki, która była wszystkim, co jej pozostało z dawnego, beztroskiego i szczęśliwego życia.

Oczywiście poza nazwiskiem, które wychodząc za Martina, świadomie zachowała ze względów zawodowych, a które po jego śmierci nosiła jedynie z przyczyn osobistych.

- A teraz śpij, skarbie - powiedziała, odgarniając jasne loczki z zaróżowionej buzi małej. - Do zobaczenia jutro rano.

Fanny uścisnęła ją na dobranoc, przytuliła obszarpanego misia, który chwilowo był jej ulubionym partnerem do łóżka, odwróciła się i zamknęła oczy.

Czuje się bezpieczna, uspokajała siebie Stephanie po wyjściu z pokoju. Dziecko, które nie czuje się bezpieczne, nie zasypiałoby tak radośnie.

Ale ostatnio troska i niepokój nie odstępowały Stephanie, podobnie jak poczucie winy, że za godzinę zostawi śpiące dziecko i uda się do pracy.

- Usłyszysz, kiedy się obudzi w nocy, prawda? - zapytała, kierując pytanie do dziewczyny, która z głową w książce siedziała w jej salonie.

Tracy spojrzała na nią i uśmiechnęła się szeroko.

- Czy wiesz, że pytasz mnie o to każdego wieczoru? - zażartowała. - I zawsze ci odpowiadam, że usłyszę.

Posłuchaj - odezwała się z żarliwym przekonaniem osiemnastolatki - przecież twoja matka też cię samotnie wychowywała, i jakoś wyszłaś na ludzi.

- Ale moja matka nie chodziła do pracy. Pracowała w domu, a ja daleko bym w ten sposób nie zajechała.

Tracy westchnęła, a Stephanie odzyskała resztki poczucia humoru.

- Wiem, że mam obsesję. Przepraszam. Zupełnie jakbym ci nie ufała.

Podeszła i serdecznie uścisnęła kuzynkę.

- Jesteś wszystkim najlepszym, co mogło się przytrafić Fanny i mnie. Gdybym jeszcze oduczyła się oczekiwać najgorszego!

Wzięła prysznic, ubrała się, ostatni raz zerknęła na Fanny i ruszyła do drzwi.

- Do zobaczenia jutro rano! - zawołała do Tracy przed wyjściem.

Spojrzała na lejące się z nieba strugi deszczu i westchnęła.

- Przyjdzie dzień, kiedy szczęście znowu się do mnie uśmiechnie - mruknęła do siebie, podnosząc głowę i postępując na nieprzychylnie niebo.

Przepowiednia sprawdziła się, gdy samochód zapalił za pierwszym razem, ale już na podziemnym parkingu wszystkie miejsca przeznaczone dla pracowników przychodni były zajęte, więc musiała długo krążyć, zanim coś znalazła.

- Spóźniłaś się! - powitała ją Rebeka, recepcjonistka z nocnej zmiany, a Stephanie automatycznie spojrzała na zegarek.

- Zawsze dajesz się nabrać! - zaśmiała się Rebeka. - Ale jesteś pięć minut później niż zwykle, czyli że jesteś dziesięć minut przed czasem, a nie piętnaście.

- Znowu ktoś gwizdnął jedno z naszych miejsc - odrzekła. - Niech no tylko dorwę tego kogoś!

- Hola, hola! - Rebeka ostudziła bojowe zapędy Stephanie. - Jedno jest moje, Peter jeszcze nie wyszedł, więc pewnie stoi tam też jego samochód, następnie Joannę, no i może tego nowego faceta. Razem cztery.

- Nowego faceta? Jakiego faceta? Chyba nie powiesz, że dodali nam drugiego lekarza na nocną zmianę w środku tygodnia? To byłby jakiś cud!

- Nic o nim nie wiem, poza tym że Muriel zostawiła wiadomość, że ma się tutaj zgłosić jakiś nowy facet. Rzeczowa i jak zawsze doinformowana ta nasza Muriel, nie ma co!

Steph zachichotała. Nie знаła Muriel, recepcjonistki z drugiej zmiany, wiedziała tylko, że ona i Rebeka wciąż się o coś spierają.

- Gdyby tu był, chyba byśmy go dostrzegły - zauważyła. Rebeka wzruszyła ramionami.

- Niekoniecznie. Mógł się zaszyć w biurze administracji. Nikt tam nie zagląda, od kiedy przychodnia zmieniła właściciela, a Flo już nie pracuje na pełnym etacie.

- Mogłybyśmy się tam zakraść i zobaczyć - zasugerowała Stephanie, kiedy otworzyły się frontowe drzwi i do środka weszło troje Japończyków - dwie kobiety i mężczyzna. Otrzepali kurtki z deszczu i rozejrzeli się za miejscem, gdzie mogliby zostawić parasolki.

Rebeka poderwała się zza biurka, wskazując im prowizoryczny stojak, który zmajstrowała z kosza na śmieci.

Znając płynnie japoński, przywitała ich z domieszką australijskiego akcentu i poprowadziła do biurka. Czy wszyscy są chorzy, czy tylko jedno z nich?

Podsunała im formularz wydrukowany po japońsku i po angielsku, który młody człowiek zaczął wypełniać, jednocześnie tłumacząc, że jest przewodnikiem grupy i że jedna z kobiet jest chora.

Rebeka przedstawiła im Stephanie, która poprowadziła kobietę do gabinetu. Okolica przyciągała turystów, głównie japońskich, i cały zespół przychodni przynajmniej z grubsza znał ten język. Stephanie mówiła dosyć biegle, choć terminy medyczne nastęrczały jej pewne problemy.

Pacjentka miała zapalenie gardła i podwyższoną temperaturę, ale gwałtownie zaprotestowała, gdy Stephanie zaleciła jej pozostanie w łóżku przez jeden dzień. Zwiedzanie - a na jutro zaplanowano oglądanie delfinów - było najważniejsze! Stephanie zaaplikowała jej penicylinę, wypisała receptę na dalszą kurację i namawiała gorąco całą trójkę na powrót taksówką do pobliskiego hotelu.

- Założę się, że rano pogna oglądać delfiny - powiedziała Rebeka, kiedy za Japończykami zamknęły się drzwi.

Pojawili się kolejni pacjenci i Stephanie nie miała już czasu na dalszą rozmowę.

Zmęczenie po długiej podróży samolotem dopadło go o północy. Nie chcąc się poddać, a jednocześnie nie mogąc zasnąć, Harry wstał z łóżka, pokręcił się po mieszkaniu, które tak łaskawie odstąpił mu Bob, otworzył lodówkę i zaraz ją zamknął, wychodząc z założenia, że nie pora na jedzenie, wreszcie opadł na fotel w nadziei, że może szybciej w nim zaśnie.

Nic z tego! Był zbyt przytomny, a jego umysł domagał się działania. Z braku lepszego pomysłu postanowił zjechać na parter i zajrzeć do całodobowej przychodni Boba.

Poderwał się więc, ubrał, wsiadł do windy i udał się na poszukiwanie kulejącego ośrodka zdrowia.

Steph wojowała w poczekalni z Tomem Butlerem, ich stałym pacjentem cierpiącym na stany depresyjno-maniakalne. Dzisiaj Tom był w szampańskim nastroju i przyszedł zademonstrować Stephanie, jak dobrze się czuje. W pewnym momencie porwał ją do góry i zaczął z nią płaść.

- Puść mnie! - krzyknęła, a Rebeka na wszelki wypadek nacisnęła dzwonek, by wezwać strażnika.

Stephanie usłyszała ciche skrzypienie drzwi i chciała zobaczyć, czy może w postaci ochroniarza przybyła pomoc, ale dopiero gdy Tom zatoczył pełne koło, ujrzała przybysza. Był wysoki, ciemnowłosy, dość potargany i niezbyt starannie ubrany, i miał niewiarygodnie znajomą twarz.

- Harry?

Usłyszał swoje imię i wytrzeszczył oczy na kobietę wiążącą w ramionach tańczącego maniaka. Miała piękne, ciemnorude włosy, bardzo krótkie, a jej twarz była zbyt

szczupła, prawie zapadnięta, a do tego ogromne, prze-
ogromne oczy. Ale to nadal była ona, Stephanie.

- Steph?

Usłyszał swój głos, wymawiający jej imię, a w głosie bezgraniczne zdumienie.

- Puść mnie! - powiedziała Stephanie do mężczyzny, który ją trzymał. - W tej chwili, Tom.

Mężczyzna nie tylko zignorował jej żądanie, ale ponownie ruszył w tany, gdy za Harrym otworzyły się drzwi i do poczekalni wszedł barczysty ochroniarz.

- Puść mnie, Tom - bardziej stanowczo powtórzyła Steph.

Tańczący mężczyzna potraktował to dosłownie i pozbył się ciężaru, a Steph jak długa runęła na podłogę. Harry od-
ruchowo skierował się w jej stronę. Wyciągnął rękę, żeby jej pomóc wstać.

Podniosła na niego wzrok i wzdrygnęła się, a gest był tak czytelny, że Harry natychmiast się cofnął, czując skurcz w sercu i pustkę w głowie. Stephanie zerwała się na nogi, wzięła się pod boki i spojrzała na niego wyzywająco.

- Jeśli nie przyszedłeś tu jako pacjent, to natychmiast stąd wyjdź, Harry! - powiedziała drżącym głosem, a jej oczy rozbłysły od wstrzymywanych łez.

Skurcz serca przerodził się w uciskający ból. Harry otworzył usta, chcąc wytłumaczyć swoją obecność, ale ona odeszła już do gabinetu.

- Jest pan pacjentem?

Dopiero teraz zauważył drugą kobietę, tę za biurkiem, w głębi poczekalni.

- Nie, mam tu pracować - odparł, odwracając się do ochroniarza, chcąc go włączyć do rozmowy. - Nazywam się

Harry Pritchard. Nowy właściciel poprosił, żebym się przyjrzał, jak funkcjonuje ten ośrodek. Jego dyrektor handlowy miał was powiadomić.

Kobieta za biurkiem - Rebeka Harris według identyfikatora - jeszcze przez chwilę przyglądała mu się badawczo.

- Słyszeliśmy, że ma się pojawić jakiś facet - oznajmiła, wzruszając ramionami, jakby jego przybycie absolutnie jej nie dotyczyło - ale na pewno nikt się nie spodziewał, że zjawi się w środku nocy.

- Zauważyłem - warknął Harry, mając żywo w oczach obraz Steph w ramionach tamtego mężczyzny. - Czy zawsze odbywają się tutaj podobne błazeństwa?

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - mruknęła Rebeka.

- O tym mężczyźnie, tańczącym w poczekalni z tamtą kobietą.

- Ale ona wcale tego nie chciała - zachnęła się Rebeka. - To nasz pacjent. Cierpi na psychozę i, co widać, jest w fazie maniackalnej. Doktor Prince przyszła po niego, bo był jej kolejnym pacjentem, a on ją porwał do tańca. Wezwałam pomoc, stąd obecność Neda - wyjaśniła, wskazując ruchem głowy na ochroniarza.

- Och! - mruknął Harry - bardzo przepraszam, ale odczuwam skutki długiej podróży samolotem. Obudziłem się i nie mogłem zasnąć, stąd moja nieoczekiwana wizyta.

To nie było najlepsze wyjaśnienie do kontynuowania rozmowy, a kobieta za biurkiem bynajmniej nie zamierzała mu pomóc.

- Możesz odejść, Ned - wreszcie zareagowała. -A wracając do pana - zwróciła się do Harry'ego - to nie bardzo wiem, co ma pan tutaj robić, poza tym, że na przyszłość radziłabym zajmować się tym w ciągu dnia. Jak zdążyłam

się zorientować, doktor Prince nie była uszczęśliwiona pańską obecnością na swojej zmianie, więc i ja przyłączam się do jej stanowiska.

Wstając zza biurka, Rebeka wyciągnęła się maksymalnie do góry i wypięła pierś niczym ptak, gdy ten cha się wydać większy i ważniejszy. Harry nie mógł po wstrzymać uśmiechu.

- Tak naprawdę - powiedział z nadzieją, że jego głos brzmi odpowiednio uprzejmie - doktor Prince nie ma tu nic do powiedzenia. Mimo to postaram się jej nie wchodzić w paradę.

Kłamstwo! Oczywiście, że będzie wchodził jej w paradę. Nawet nie będzie się musiał starać. Między nimi jest zbyt wiele nie dokończonych spraw.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy Stephanie zdołała trochę uspokoić Toma, zadzwonił telefon.

- To musi być coś ważnego, w przeciwnym razie Rebeka nie przerywałaby wizyty - rzekła do Toma, mając nadzieję, że ją zrozumie.

Tak się jednak nie stało.

- Jestem równie ważny jak wszyscy - mruknął kwaśno.

- Oczywiście, jesteś nawet ważniejszy, jako nasz stały pacjent, ale to może być jakieś dziecko z poważnym problemem, Tom. Naprawdę muszę iść.

Wstała i ruszyła ku drzwiom, modląc się, by Tom, którego nie mogła samego zostawić w gabinecie, poszedł za nią. Ale kiedy oboje znaleźli się przy drzwiach, znowu ją złapał.

- Ach, moja ulubiona pani doktor! - zawołał, chwytając ją i podnosząc tym razem od tyłu.

Ratując się kopnięciem, trafiła go obutą piętą w kolano. Bęc. Znowu wylądowała na podłodze, Tom zaś złapał się za nogę i zawył.

- Nie musiałaś tego robić! - mruknął, ale kiedy się odwrócił, jakby znowu chciał jej dotknąć, pojawił się Harry, chwycił Toma za łokieć i poprowadził w stronę recepcji.

- W drugim gabinecie jest kobieta. Bardzo kaszle i ma lekko sine usta.

Zjawiła się Joanne, która pomogła Steph wstać z podłogi i pociągnęła ją do drugiego gabinetu.

- Założyłam jej maskę tlenową - poinformowała, podając Steph kartę nowej pacjentki.

Kobieta siedziała na kozetce, ściskając w jednej ręce maskę, kaszłąc ze świstem i z trudem łapiąc powietrze. Już od drzwi Stephanie poczuła mieszaninę dymu z papierosów i oparów alkoholu, choć - unikając pochopnych sądów - kobieta mogła przesiąknąć tymi zapachami w jakimś nocnym lokalu, w którym spędziła czas.

- Proszę z powrotem przyłożyć maskę do nosa i do ust, i głęboko oddychać - powiedziała Steph, gdy atak kaszlu na chwilę ustał. - I proszę starać się nie mówić, tylko odpowiadać na moje pytania kiwnięciem głowy.

Kobieta potaknęła, dając znać, że rozumie.

- Najpierw osłucham płuca. Czy wcześniej zdarzały się podobne ataki kaszlu?

Kolejne kiwnięcie.

- Czy choroba została rozpoznana? Potwierdzenie.

- Zapalenie oskrzeli? Potwierdzenie.

- Chroniczne? Potwierdzenie.

- Czy stosuje pani jakieś inhalacje? Kobieta zaprzeczyła, potrząsając głową.

- Bierze pani regularnie środki zapobiegawcze? Kolejny zaprzeczający ruch głowy.

Stephanie skończyła badanie, wyprostowała się i spojrzała kobiecie w oczy.

- Czy pani pali?

Kobieta kiwnęła głową i odwróciła wzrok, co mogło sugerować, że już jej mówiono, może nawet niejedną raz, o szkodliwości palenia.

- Czy warto się tak narażać? - zapytała Steph. - Dam pani teraz antybiotyki, ale to nie rozwiąże problemu - ciągnęła. - To poważna dolegliwość, której konsekwencje, zwłaszcza dla serca i płuc, mogą być bardzo uciążliwe. Zapewne lekarz pierwszego kontaktu powiedział pani wszystko, co należy robić, żeby się pozbyć zapalenia oskrzeli, ale ja jeszcze raz to powtórzę. Po pierwsze trzeba odzwyczaić się od palenia, obecnie jest wiele naprawdę dobrych środków antynikotynowych. Następnie trzeba się jak najwięcej ruszać. Najlepsze jest chodzenie, najpierw powoli, a potem, w miarę możliwości, coraz szybciej, co najmniej dwadzieścia minut dziennie.

Zapytała kobietę o ewentualne uczulenia, po czym wypisała receptę na penicylinę i lek w aerozolu na rozszerzenie oskrzeli.

- Ale najważniejsze to nie podrażniać płuc - dodała. - Podobne działanie do dymu z papierosa może mieć lakier do włosów, preparat owadobójczy w aerozolu, nawet chemikalia w miejscu pracy.

Pacjentka - Beth Graham, Steph wreszcie rozszyfrowała nazwisko na karcie pacjentki - zdjęła teraz maskę.

- Łatwo powiedzieć - odburknęła. - Jestem barmanką i cały czas pracuję w dymie. Próbowałam różnych plastrów i pigułek, ale nic z tego. A te wszystkie środki czyszczące, jakich używam, zanim zamkniemy lokal? Uwielbiam lekarzy, którzy mi dobrze radzą, tylko żaden się nie zastanawia, jak mam to zrobić.

- Przepraszam - powiedziała Steph. - To taka zawodowa skłonność do wygłaszania kazań.

Przyjrzała się zmęczonej twarzy Beth i jeszcze raz sprawdziła kartę. Trzydzieści pięć lat. Tylko pięć lat starsza od niej.

- A jakaś inna praca? Albo dzienna zmiana, żeby się jak najmniej stykać z nocnym powietrzem? Nie musiałyby też pani sprzątać.

Beth potrząsnęła głową.

- Mam trójkę dzieci. Najstarsza ma piętnaście lat i na noc mogę zostawić pozostałe pod jej opieką, ale mała ma tylko sześć, więc chcę być w domu, kiedy wychodzi do szkoły i kiedy wraca do domu. Wcześniejsza zmiana nie wchodzi w rachubę.

Stephanie poruszyła rękami.

- Jak ja to rozumiem! - oświadczyła. - Też nie przepadam za nocną pracą, ale mam czteroletnią córeczkę i również chcę być razem z nią w ciągu dnia.

- Parę razy próbowałam coś zmienić - ożywiła się Beth. - Nawet prowadziłam limuzynę, ale nic nie jest tak dobrze płatne jak praca na nocnej zmianie w barze, a teraz, kiedy moja Desiree chce się ubierać, jak inne nastolatki, potrzebuję pieniędzy.

- Ale to wszystko nadweręża pani zdrowie. Nie myślała pani o przekwalifikowaniu się? O jakimś kursie, po którym mogłaby pani pracować w domu?

- A kto w tym czasie zapewni nam utrzymanie? Nie, to błędne koło!

Wzięła recepty i razem wyszły z gabinetu, a Stephanie zatrzymała się w recepcji.

- Mogłybyśmy założyć klub kobiet, które pracują w nocy - zwróciła się do Rebeki - żeby w ciągu dnia móc przebywać ze swoimi dziećmi. Oto następna kandydatka. - Steph wskazała na drzwi, za którymi zniknęła Beth.

- Mnie jeszcze został najwyżej rok - odrzekła Rebeka. - Kiedy Dyson pójdzie do liceum, raczej będę go musiała pilnować w nocy niż w dzień. To oznacza mniejszą pensję, ale poczekaj! Poszukam sobie pracy recepcjonistki u lekarza z prawdziwego zdarzenia, gdzie masz stałych pacjentów, którzy ci przynoszą domowe soki i wyszywanki.

Stephanie roześmiała się.

- My też mamy stałych pacjentów - przypomniała Rebecce. - Na przykład Toma!

- I paru pijanych włóczęgów oraz grupę bezdomnych dzieciaków - prychnęła Rebeka.

Harry, siedzący w biurze administracji i przerzucający dokumenty w jednej z szuflad biurka, słyszał ich rozmowę i zadawał sobie pytania.

Czy Bob Quayle wiedział, że Steph pracuje w tej klinice, a jeśli tak, dlaczego o tym nie wspomniał?

Dlaczego Steph rozmawia tak, jakby musiała się miotać między pracą a opieką nad dzieckiem? Jeżeli nawet po śmierci Martina nie zostały żadne pieniądze, to przecież Quayle'ów stać chyba na utrzymanie jedynej wnuczki?

Kobiety nadal rozmawiały, teraz dla odmiany o dzieciach. Rebeka skarżyła się na słownictwo, jakie dzieciaki przynoszą ze szkoły.

- Wiesz, że facet, o którym mówiłam, już się pojawił? - dodała, zmieniając temat tak szybko, jak tylko potrafią kobiety. - Tak, tak, to ten gość, którego znasz. Ten, którego nazwałaś Harrym. To o nim wspominała Muriel.

Ponieważ zaczęły mówić na jego temat, postanowił, pomimo wrogiego nastawienia Stephanie, ujawnić się jak najprędzej, żeby nie być posądzonym o podsłuchiwanie.

- Harry jest tym facetem? - usłyszał głos Steph, gdy wstawał zza biurka. - Jak to?

- Ma się zorientować, jak jest prowadzona przychodnia - dodała Rebeka.

- O trzeciej w nocy? Nie żartuj!

- Powiedział, że nie może zasnąć po długim locie - wyjaśniała Rebeka w momencie, gdy Harry otwierał drzwi i przekraczał próg.

- Dzień dobry, Steph - rzekł z nadzieją, że jego głos brzmi pewniej, niż on sam się czuje. - Jak się masz?

Znał jej piorunujący wzrok i nie przestraszył się. Nie mógł jednak zignorować niepokoju, jaki go ogarnął na widok jej bladej, zmęczonej i zdecydowanie zbyt szczupłej twarzy. O dziwo, piękniejszej niż kiedyś.

- Co ty tu właściwie robisz? - zapytała, lekceważąc jego pytanie i przechodząc do ataku.

- Przyglądam się temu miejscu z polecenia nowego właściciela. - Teraz prośba Boba Quayle'a o nieujawnianie jego tożsamości wydała się co najmniej dziwna. Czy Steph nie wie, że nowym właścicielem jest jej teść?

Podobno przychodnia znalazła się w trudnej sytuacji finansowej i nowi właściciele chcą wiedzieć dlaczego.

-Mówiąc to, Harry czuł się coraz bardziej niezręcznie. Stephanie zmrużyła podejrzliwie oczy.

- Ach, tak! Już widzę nagłówki na pierwszych stronach gazet! - warknęła. - „Wybitny chirurg plastyczny przeprowadza kontrolę w splukanym, podupadającym ośrodku zdrowia”. - Szczupłymi, długimi palcami zaznaczyła w powietrzu miejsca cudzysłowu. - No bo przecież masz nie byle jakie kwalifikacje!

- Wyświadczam przysługę przyjacielowi - oznajmił Harry, zachowując spokój, choć przez chwilę miał ochotę złapać Stephanie i nią potrząsnąć. - A jak wiesz, pracowałem wcześniej w podobnych miejscach.

Nadmiernie się tłumaczył, więc dodał:

- Tak bardzo cię to interesuje?

Ale Stephanie, która nigdy nie знаła swojego miejsca - w minionych czasach wydawało się jej, że jest ono w jego łóżku, a nie Martina - postąpiła do przodu z podejrzliwą miną.

- Przyjacielowi? - zapytała, ale Harry nie zdążył odpowiedzieć, a raczej wydukać odpowiedzi, kiedy otworzyły się drzwi, przez które wtoczyło się dwóch młodych ludzi w wyraźnie nietrzeźwym stanie, podtrzymujących trzeciego, z mocno krwawiącą raną na głowie.

- Przewrócił się - wyjaśnił jeden z nich, gdy zataczając się, zbliżyli się do biurka.

Pierwsza zareagowała Stephanie. Przejęła rannego, prosząc Rebeke o wypisanie karty i zebranie informacji, po czym zawołała Joannę do gabinetu zabiegowego.

Na wstępie, pomyślał Harry, chwytając rannego z drugiej strony, powiem Bobowi Quayle'owi, że kobiety nie powinny pracować na nocnej zmianie w podobnym miejscu.

- To jakiś absurd! - mruknął do siebie i, dopiero gdy Steph zwróciła ku niemu głowę i uniosła brwi, uświadomił sobie, że mówi głośno. - Tu są same kobiety. - Ujął myśli w słowa, kierując pacjenta do stołu na środku gabinetu. - Popatrz tylko na siebie, przecież taką chudzinę mógłby zdmuchnąć najmniejszy powiew wiatru! I jak ty masz sobie poradzić z tymi wszystkimi pijakami?

Młody człowiek zatoczył się na stół i pozieleniał, ale Stephanie była szybsza. Złapała miskę i podstawiała ją w momencie, kiedy młodzieniec zwracał znaczną porcję treści żołądkowej.

Pielęgniarka, tylko troszeczkę mocniej zbudowana niż Stephanie, pojawiła się w samą porę, żeby opróżnić mied-

nicę, wytrzeć pacjentowi twarz i podać tacę z anty-septycznym roztworem, by Stephanie, gdy pacjent usiadł przy stole, mogła mu oczyścić ranę na głowie.

Zżymając się w sobie na niedorzeczność sytuacji, Harry trzymał rękę na ramieniu pacjenta na wypadek, gdyby zaszła konieczność spacyfikowania go. Tymczasem Stephanie zdążyła się dowiedzieć, że chłopak ma na imię Jeny i że spadł z balustrady. Chociaż pijany, mówił dość spójnie, co upewniło Harry'ego, że nie doznał wstrząśnienia mózgu. Z jego relacji wynikało, że była to balustrada wokół fontanny przy centrum handlowym, w której zamierzali popływać, zanim jeden z nich, Todd, nie powiedział, że najpierw przejdą się po niej i sprawdzą, czy są dostatecznie trzeźwi.

- Rozumiem - powiedziała Stephanie, jakby takie skandaliczne zachowanie było dla niej czymś absolutnie logicznym. Następnie popatrzyła na Harry'ego i szeroko się uśmiechnęła. - Tylko nie każdy przechodzi próbę.

I wtedy Harry przypomniał sobie...

Byli na pierwszym roku medycyny, może na drugim, w każdym razie dawno temu. Świętowali zdane egzaminy i koniec semestru w rodzinnym domu Martina, który w pewnej chwili rzucił hasło spacerowania się po poręczy dla sprawdzenia ich trzeźwości, zanim wykąpią się w fontannie.

Jedynie Steph przeszła całe koło...

Steph na swoich szczupłych, długich nogach, gibka jak sarna...

Zakładała chłopcu szew. Kłując go, łagodnie do niego przemawiała. Ustaliła, że jest miejscowym, a nie turystą, powiedziała mu też, że na zdjęcie szwów ma się udać do lekarza pierwszego kontaktu.

- Wolalbym przyjść tutaj - oświadczył Jerry.
- Wiem, że byś wolał - przyznała mu rację, rozweselona.
- Ale mogę nie mieć dyżuru, a tobie trafi się wielki, szorst-

ki, początkujący lekarz, który ci je zerwie, nie patrząc, czy to cię boli, czy nie. Idź lepiej do swojego lekarza.

Odcięła wodoodporny opatrunek i przymocowała mu go na czubku głowy.

- Tylko tego nie zdejmuj - ostrzegła, a następnie pomogła mu wstać.

Znowu poblądł, a pielęgniarka chwyciła miskę, lecz chłopak złapał drugi oddech i nawet przeprosił za wcześniejszy incydent.

- W porządku - odparła Stephanie. - Tylko teraz wracaj prosto do domu.

Kiwnął głową, delikatnie dotknął zranionego miejsca, a potem Stephanie odprowadziła go do drzwi. Harry został na miejscu i przedstawił się pielęgniarce.

- Zawsze pracujesz w nocy? - zapytał.

- Dwa razy w tygodniu - wyjaśniła Joannę. - Nie mogę inaczej. Nocna zmiana jest lepiej płatna, dostaję za nią równowartość trzech i pół dnia dziennej zmiany. Jestem studentką i uczę się, kiedy nie jestem zajęta. Steph jest bardzo dobra. Wzywa mnie tylko wtedy, kiedy naprawdę czegoś potrzebuje.

W to nie wątpię, pomyślał Harry. Steph myśli o wszystkich poza sobą.

Jeszcze przez chwilę rozmawiał z Joannę, a gdy wyszedł, jego myśli krążyły wokół trudnego problemu łączenia pracy zawodowej z życiem rodzinnym. Zwłaszcza kobiet.

Chciał jeszcze porozmawiać ze Steph, która gdzieś zniknęła, zaś za recepcyjnym biurkiem Rebeka gawędziła z ładną blondynką w jaskrawoczerwonym kostiumie.

- To jest Linda, w tym tygodniu nasza recepcjonistka na pierwszej zmianie - oznajmiła Rebeka, zapraszając Harry'ego ruchem ręki do biurka. - Przedstawi panu dzienny per-

sonel, o ile nadal jest pan w bojowym nastroju i chce tu jeszcze zostać.

Zwróciła się ku Lindzie.

- To Harry Pritchard. Pracuje dla nowych właścicieli. Sprawdza, czy wszyscy robimy to, co do nas należy i czy nie podkradamy pieniędzy.

- Wolne żarty! - powiedziała Linda. - Większość naszych pacjentów to ludzie ubezpieczeni w kasie chorych.

Ale uśmiechnęła się do niego, otaksowała go spojrzeniem, po czym jeszcze raz, tym razem o wiele cieplej, uśmiechnęła się i dodała:

- Ale jeśli mogłabym w czymkolwiek pomóc, proszę dać mi znać.

Harry uśmiechnął się uprzejmie i przeprosił je. Dziewczyna położyła zbyt duży nacisk na słowa „w czymkolwiek”, a on nie był zainteresowany ładnymi blondynkami, przynajmniej obecnie.

Kończyła się zmiana, a on chciał zadać kilka pytań pewnej rudowłosej i usłyszeć od niej chociaż część odpowiedzi. Niestety, poszukiwanie zakończyło się fiaskiem.

- Już skończyła dyżur - poinformowała go Rebeka, gdy ponownie znalazł się w recepcji i wyjrzał na korytarz prowadzący do głównego wyjścia.

- Nie dosłyszałem - mruknął, zły, że jego zachowanie jest aż tak czytelne.

- Steph wyszła! Chce być w domu, zanim obudzi się Fanny, a jej stary samochód jest tak zawodny, że Steph wypada jak burza, gdy tylko przyjeżdża jej zmiennik. W razie czego, gdy silnik nie zapali, idzie do domu na piechotę i jeszcze zastaje małą w łóżku.

Krótkim kiwnięciem głowy podziękował Rebecce za wiadomość i oddalił się do biura.

Do licha z nią! Ale żeby tak wyjść bez pożegnania?

Poczuł tak nagle zmęczenie, że postanowił wrócić do siebie - a właściwie do mieszkania Boba Quayle'a. No właśnie! Czy to wszystko ma sens?

Prosząc o opinię na temat przychodni, Bob nie wspominał nawet, że pracuje w niej Steph...

W ogóle o niej nie wspominał!

Padła - i tak już od czterdziestu dni i nocy - kiedy jechała do domu. Zmęczenie, które zwykle odczuwała po nocnej zmianie, ustąpiło miejsca napięciu i zdenerwowaniu.

Pojawienie się Harry'ego przywołało całą masę skojarzeń. Nie była tak naiwna, by sądzić, że znalazł się w miejscu jej pracy przez czysty przypadek. To byłby zbyt dziwny zbieg okoliczności!

A czy wyznaczenie chirurga plastycznego do kontrolowania całodobowej przychodni nie zakrawa na kpiny?

Jechała powoli opustoszałymi o tej porze ulicami i zachodziła w głowę, jak to jest.

Żona dalekiego kuzyna Harry'ego kupiła firmę, a on wyświadcza jej przysługę?

Przyjechał z krótką wizytą i nie wie, jak wypełnić czas?

Jego rodzice opuścili posiadłość na zachodzie i przenieśli się do Summerland? Może zainwestowali w przychodnię, a on ją dla nich sprawdza? Aha, to by było całkiem możliwe, prawda?

Jeśli się wierzy w bajki...

Wjechała na swoje miejsce, zapominając na chwilę o Harrym, licząc w głowie, jak zawsze w podobne poranki, że gdyby przez kolejne pół roku ograniczyła się do najbardziej podstawowych zakupów, mogłaby zaoszczędzić i zbudować garaż, którego tak bardzo potrzebował jej samochód, a po-

tem, po trzech kolejnych miesiącach, zgromadziłaby pieniądze na zadaszenie przejścia od garażu do domu.

Dziewięć miesięcy to nie tak długo. Jak ciąża. Było, minęło.

Też porównanie!

Osunęła się w fotelu i oparła głowę na kierownicy. Uderzyłaby w nią raz czy dwa, by pozbyć się natrętnych myśli, gdyby nie fakt, że lada chwila obudzi się Fanny. Wyprostowała się więc, złapała parasolkę, otworzyła drzwi samochodu i brnąc w błocie, pobiegła do domu.

W mieszkaniu było ciepło i cicho, i wszyscy jeszcze mocno spali. Mimo to zajrzała do Fanny i na widok drobnej figurki rozciągniętej na łóżku, zaróżowionych od snu policzków, złocistych loczków wokół główki uśmiechnęła się do siebie.

W drodze do kuchni wsunęła także głowę do pokoju Tracy, wzdrygając się na widok bałaganu, by zaraz potem przypomnieć sobie, że i ona była bałaganiarską nastolatką. Tyle było do zobaczenia, do zrobienia, że na utrzymywanie porządku brakowało czasu.

Zadowolona, że wszystko gra w tym najważniejszym zakątku jej prywatnego świata, Stephanie nastawiła czajnik i wrzuciła grzanki do opiekacza.

Kończyła śniadanie, gdy do kuchni wpadła Fanny.

- Przypomniałam sobie - zaczęła od progu, rzucając się mamie na szyję i całując ją w policzek. - Mamy przynieść do przedszkola ulubioną zabawkę na dzisiejsze przyjęcie z herbatką dla lalek.

- No to świetnie - powiedziała Stephanie, gładząc córeczkę po włoskach i odgarniając je z czoła. - Masz w czym wybierać.

- Z tym jest problem - odrzekła mała i teatralnie westchnęła.

Słyszając w ustach córeczki wypowiediane często przez Tracy zdanie, Steph uśmiechnęła się do siebie.

- Jaki masz problem? - zapytała małą gwiazdę teatralną, która teraz wdrapała się jej na kolana.

- Nie wiem, która jest moja ulubiona. Kolejne dramatyczne westchnienie.

- Ostatnio bierzesz do łóżka misia, dlaczego nie miałybyś go zabrać na przyjęcie?

- Bo to by rozgniewało Adelinę - oświadczyła Fanny. Wiedząc, że taka rozmowa może nie mieć końca, Stephanie wycofała się.

- No cóż, biegnij więc do swojego pokoju i rozejrzyj się uważnie, a ja ci przygotuję śniadanie. Możesz się ubrać, gdy będziesz się zastanawiać, a kiedy będziesz gotowa, zawołaj mnie, żebym cię uczesała.

Fanny chętnie posłuchała, a na koniec zdecydowała, że miś zasłużył na przedszkolne smakołyki.

Stephanie zawiązała mu na szyi czerwoną kokardę, żeby wyglądał odświętnie, po czym zaniósła pod peleryną Fanny i jej misia do samochodu i ruszyła w kierunku przedszkola.

- Nie zapomnij, że dzisiaj odbiera cię Tracy - przypomniała córeczce.

- Bo jest piątek! - odpowiedziała Fanny, popisując się znajomością ich codziennych zajęć.

Pocałowały się na do widzenia, Steph upewniła się jeszcze, czy personel wie, że dzisiaj Tracy odbiera Fanny, i odjechała. Jeżeli pojedzie prosto do domu, może wygospodaruje pięć godzin porządnego snu. Jeżeli nie dopuści do siebie myśli o ponownym, nieoczekiwanym wtargnięciu w jej życie Harry'ego, może wygospodaruje...

Ale jak o tym nie myśleć...?

Nie myśleć o Harrym i jego ciemnych, bystrych oczach, jego długim, tyczkowatym ciele mieszkańca buszu...

A jednak musiała zasnąć, skoro obudziła się o pierwszej, nie wypoczęta, ale właściwie taka zamroczona i skołowana, że mogłaby jeszcze spać Bóg wie dokąd.

Miała do wyboru godzinną drzemkę albo szybkie posprzątanie domu i pranie. Wybrała to drugie. Wygrzebała się z łóżka, zrobiła sobie filiżankę herbaty i kanapkę, po czym włączyła pralkę i wzięła się za sprzątanie.

Gdyby miała garaż, mogłaby w nim suszyć pranie, pomyślała, kiedy rozwieszała wilgotne rzeczy na werandzie. A może po garażu, ale przed zadaszeniem przejścia, mogłaby kupić automatyczną suszarkę?

- Marzycielka! - mruknęła pod nosem, spiesząc się, żeby zdążyć na trzecią do miejscowego ośrodka zdrowia.

Piętnaście kobiet w różnym stadium ciąży powitało ją entuzjastycznie. Wprawdzie szpital państwowy oferował ciężarnym kobietom naukę w szkole rodzenia, jednak dojazd na trwającą pół godziny lekcję trwał zbyt długo i Stephanie, w porozumieniu z miejscowym lekarzem, raz w tygodniu przez godzinę łączyła rutynowe badania z informacją o przebiegu porodu i o karmieniu, po których następowały ćwiczenia oddechowe i ruchowe. Był to nieduży, ale zawsze mile widziany dodatek do stałych dochodów, a Stephanie lubiła kontakt z kobietami, żywo uczestniczyła w ich problemach i dzieliła ich radosne podniecenie.

Dzisiaj jednak była nie w humorze. Wracała do domu, chcąc jak najprędzej zobaczyć Fanny, ale myśl o Harrym, który tak nagle wtargnął w jej życie, nie dawała jej spokoju.

- Zapomnij o nim - powiedziała sobie i zaraz potem omal nie uderzyła w stojący na jej miejscu samochód.

Skrzywiła się na widok intruza, ciemnozielone auto, którego kształt sugerował całkiem świeży model.

Czyżby któraś z matek podwiozła Tracy i Fanny do domu i została zaproszona na kawę? A może po wykładach ktoś podrzucił Tracy do domu, po czym został, żeby mogła przywieźć Fanny samochodem, zamiast maszerować z nią w deszczu?

Po namyśle cofnęła samochód i zaparkowała na krawężniku przy głównej bramie. Jeszcze dalej od swoich drzwi, ale pal sześć! Przemoknie do suchej nitki, ale jakie to ma znaczenie wobec jej wszystkich problemów!

Jednym z nich był siedzący na frontowej werandzie mężczyzna, niemal ukryty pośród rozwieszonego tam prania.

- Co ty tu robisz? - zapytała, wpatrując się z niedowierzaniem w faceta, który mać jej myśli, rujnował sen, a teraz wdarł się do jej domu.

- Opiekunka do dziecka powiedziała, że bez twojej zgody nie może zapraszać obcych do środka – odparł i wstał, górując nad nią na ograniczonej, wolnej od prania przestrzeni. - I chociaż Fanny przyznała, że ma wujka Harry'ego, to pokazała moje tak stare zdjęcie, że trudno było się dopatrzeć podobieństwa.

Uśmiechnął się lekko, jakby przepraszał. Ten tak znajomy, poufały wyraz jego twarzy boleśnie poruszył jej serce.

- Poszliśmy na kompromis. Ze względu na deszcz posadzono mnie na werandzie do czasu twój powrotu.

Kolejny uśmiech, kolejny skurcz serca.

- Wydaje się, że Fanny bardzo chce mnie poznać - powiedział, próbując przełamać jej opory.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Dlaczego mi to robisz? Dlaczego tu jesteś? O co ci chodzi, Harry?

W jej głosie było tyle bólu i niepokoju, że uśmiech Harry'ego zamienił się w grymas. Co sprawiło, że stała się taka napięta i podejrzliwa?

Zgoda, nie rozstali się w przyjaźni - Stephanie wręcz przysięgała, że już nigdy nie odezwie się do niego - ale zawsze przysyłała karteczka z podziękowaniem za prezenty, które posyłał Fanny, a poza tym Stephanie nigdy nie umiała się długo gniewać.

Nie wiedział, co powiedzieć. Na szczęście wpadła Fanny. Piękna dziewczynka, o oczach tak podobnych do Martina, że Harry przez chwilę nie mógł oderwać od niej wzroku, stała w drzwiach, a w ręczce trzymała starą fotografię.

- Ten pan mówi, że jest wujkiem Harrym! - wyjaśniła matce, surowo spoglądając na gościa.

Harry widział, że Stephanie się waha. Z rozmowy opiekunki z Fanny zdążył się zorientować, że Stephanie miło wspominała go przy małej. A teraz była w rozterce - czy go wyrzucić, a potem wyjaśnić Fanny, dlaczego straciła swojego ojca chrzestnego, czy też zaprosić go i udawać, że jest przyjacielem, za jakiego uważa go Fanny?

- To jest wujek Harry - powiedziała Stephanie, klękając koło dziewczynki. - Postarzał się tylko i dlatego nie wygląda tak samo jak na twojej fotografii, ale jeśli porównasz jego oczy, zobaczysz, że są takie same. A jego uśmiech...

Gdy podniosła wzrok na Harry'ego, jej własne oczy były zimne jak lód.

- Uśmiechnij się, wujku Harry - rozkazała. - Spójrz - dodała, odwracając się do Fanny. - Ma nawet taki sam uśmiech.

To nie był taki sam uśmiech i Harry o tym wiedział. Znał tę fotografię, ponieważ miał taką samą. Została zrobiona,

gdy po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że kocha Stephanie
- i ta miłość rozjaśniała jego uśmiech.
Nawet jeśli ona tego nie widziała.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Gdy Fanny upewniła się, że to jej wujek Harry, przejęła inicjatywę i zabrała gościa do swojego pokoju, by odnowił znajomość ze wszystkimi zabawkami, które jej posyłał na przestrzeni lat, paplając przy tym, jakby znała go od zawsze.

Także na Tracy gość najwyraźniej zrobił wrażenie: prosiła go za wcześniejsze wątpliwości, zaproponowała kawę albo herbatę.

Niewykluczone, że Fanny zaprosi go na kolację, pomyślała Stephanie, dodając puszczkę przecieru pomidorowego do mielonego mięsa, głównego składnika przygotowywanej mięsno-ziemniaczanej zapiekanki.

Zerknęła na niego parę razy, gdy słuchał paplaniny Fanny - zobaczyła płytkie zmarszczki, jakie pięć lat wyryło na jego twarzy. Mignęły jej jego brązowe oczy, promieniujące radością i życzliwością, gdy rozmawiał z jej córką.

Czy dlatego czuje więź z Fanny, bo był przy jej narodzinach, bo pomagał Stephanie, trzymając ją za rękę podczas porodu? Zajął miejsce Martina, bo Martin... Nie, nie będzie rozwijać tego wątku!

Jakoś przebrnęła przez wspólny posiłek, ale gdy Harry zaproponował, że pozmywa, wiedziała, że nie pozostanie z nim w kuchni ani chwili dłużej.

- Załatwcie to we trójkę, a ja tymczasem wezmę prysznic - powiedziała i szybko się ulotniła.

Po prysznicu, owinięta w ręcznik, przemknęła korytarzem do sypialni. Przeglądając zawartość szafy, aż jęknęła. Dżinsy i T-shirty. Zawsze ubierała się tak do pracy, ale dzisiaj wieczorem chciałyby mieć nowy T-shirt i parę choć trochę mniej wypłowiałych dżinsów. Dzisiaj wieczorem chciałyby wyglądać... atrakcyjnie!

Dla Harry'ego?

Czy dlatego, że jest mężczyzną!

Wmawiała sobie, że chodzi o to drugie, i że każda normalna kobieta lubi się podobać mężczyznom, ale chwilami powątpiewała w szczerość takiego rozumowania. Chodziło jednak o Harry'ego, bo Harry zawsze jej mówił, że jest piękna.

Zerknęła smętnie w lustro.

Piękna?

Phi! Co ją to wszystko obchodzi? Najważniejsze to dowiedzieć się, co on tu robi i jaki to może mieć wpływ na z trudem wywalczone bezpieczeństwo jej małej rodziny.

Wciągnęła najstarsze dżinsy i podkoszulek z myszą w bokierskich rękawicach, mocującą się ze słoniem -prezent od Tracy - i w bojowym nastroju ruszyła do walki, by chronić swój dom i córkę przed wszelkim możliwym zagrożeniem.

- Śliczna koszulka! - powiedział Harry, a w jego wzroku było więcej dezaprobaty niż podziwu.

- Wszystko, co noszę, i tak przykrywam płaszczem - odrzekła, nie przejmując się jego reakcją. - Pora spać, dziecinko - zwróciła się do córeczki, ale radość i podniecenie ze spotkania prawdziwego wujka Harry'ego uderzyły Fanny do główki i mała dała rzadki jak na nią popis ostrego sprzeciwu.

- A gdybym poczytał ci bajeczkę do łóżka? - zaproponował Harry i napad złości dziewczynki szybko zamienił się w uśmiech.

Stephanie poczuła ściskanie w żołądku, którego przyczyną była mieszanka złości i, niestety, zazdrości. Zmusiła się jednak do uśmiechu, po czym wzięła Fanny za rączkę i wyprowadziła ją z kuchni.

Ale tłumienie emocji tylko pogorszyło sprawę i kiedy w końcu nadszedł czas, by udać się do pracy, Stephanie była tak spięta, że załapała silnik i nie mogła uruchomić cholernego samochodu.

- Zostaw, podwożę cię - powiedział Harry.

- Nie fatyguj się. Mogę wziąć taksówkę - warknęła.

- Nadal jesteś uparta jak osioł, Stephanie! Ale nigdy nie byłaś głupia. Więc zamiast w taką pogodę, w piątek wieczór szukać na próżno taksówki, przesiądź się do mnie. Poza tym musimy porozmawiać.

- Nie! - skwitowała.

Ale w sprawie taksówki miał rację. Klnąc pod nosem, zgarnęła swoje rzeczy i wygramoliła się na deszcz. Znowu!

- Ładny samochód! - mruknęła, zapinając pasy na przemoczonym okryciu i z błogością wdychając zapach charakterystyczny dla nowego wnętrza.

- Wynająłem go. Wróciłem przed niecałym tygodniem.

- Co tutaj robisz? - zapytała ponownie, tyle że tym razem postanowiła uzyskać odpowiedź.

Odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej szeroko, a ją załapała tak potężna fala emocji, że omal jej nie zatopiła.

- W samochodzie? - zażartował. - Odwożę cię do pracy. W Summerland? Zamierzam tu otworzyć specjalistyczną klinikę.

- No cóż, wybrałaś sobie świetne miejsce - odparowała, zła, że nie mogąc zbić go z tropu, sama z coraz większym

trudem zbiera myśli. - Pełno tu bogatych starszych kobiet, które pragną wyglądać młodziej.

- O ile pamiętam, dawniej nie byłaś złośliwa, Steph - powiedział chłodnym tonem. - To była jedna z cech, która cię wyróżniała.

- Na tyle mnie wyróżniała, że zostałam żoną Martina, ale tylko jedną z jego licznych kobiet - warknęła. - No cóż, tamtej Stephanie nie ma, Harry. Po tych wszystkich parzywych rzeczach, które mi się ostatnio przydarzyły, mogłabym się stać największą jędzą na świecie.

Chciał coś powiedzieć, ale po tym, co usłyszał, musiał złapać oddech. Powiedziała „ostatnio”. Czy to trwa nadal? Czy to świeża sprawa?

Czy chodzi o tę straszną noc, kiedy urodziła Fanny, a Martin zabił się, pędząc do szpitala? Był spóźniony, bo nikt nie mógł się z nim skontaktować. Był spóźniony, bo wyjechał nie na jakąś konferencję, której jak zwykle użył jako pretekstu, ale na skradziony weekend z inną kobietą...

Jeszcze raz na nią spojrzął, ale ona patrzyła przez okno i uporczywie wpatrywała się w deszcz. Krótко ostrzyżone włosy wydobywały piękny kształt jej głowy, i Harry, żeby nie sięgnąć i nie dotknąć jej, kurczowo uchwycił się kierownicy.

- Wysadź mnie przed przychodnią - poprosiła.

- Nie, pojedziemy na parking - odparł. - Zostawię samochód i pójdę z tobą do pracy.

Jakby w nią piorun strzelił! Tak błyskawicznie odwróciła głowę, iż tylko cudem nie nadwerczyła szyi,

- Co powiedziałaś?

- Idę z tobą do pracy - powtórzył, nie kryjąc zadowolenia. - Na nocnej zmianie w piątek powinno być dwoje lekarzy. A skoro poproszono mnie, żebym się przyjrzał

przychodni, uważam, że w ten sposób poznam ją od podszewki.

- Nie możesz mi tego zrobić! - Aż się w niej zgotowało. Zaciskała pięści, powstrzymując się, by go nie atakować.

Wjechał na jedno z przeznaczonych dla lekarzy miejsc na tyłach przychodni, po czym zwrócił się do niej.

- Czego nie mogę zrobić, Steph? - zapytał ze stoickim spokojem.

- Wkroczyć z powrotem w moje życie, jak gdyby nigdy nic. Nawiedzać mnie i prześladować w taki sposób. Dlaczego, Harry? Dlaczego?

Była tak zrozpaczona, że wyciągnął rękę i bardzo lekko dotknął jej policzka.

- Nie zrobię niczego, co by ci sprawiło ból, Steph, chyba w to nie wątpisz. A jeśli chodzi o nawiedzanie i prześladowanie, to przysięgam, iż nie wiedziałem, że pracujesz w tej przychodni. To prawda, że skontaktowałem się z tobą jutro albo pojutrze. Chciałem zobaczyć Fanny. Chciałem zobaczyć ciebie...

Stało się, wreszcie to powiedział. Nie spodziewał się tylko, że Stephanie zareaguje na to śmiechem. Śmiechem na pograniczu hysterii, ale jednak śmiechem.

- Nie wierzę - oświadczyła i odwróciła ku niemu twarz, a on ujrzał jej wilgotne oczy i błyszczące od łez policzki. - To byłby dziwny zbieg okoliczności! Już raz, wiele lat temu, los nas połączył z powodu nazwisk. A teraz miałby cię sprowadzić do Summerland? Do trzydziestotysięcznego miasta, akurat tutaj, gdzie pracuję?

Nie był pewny, czy jest zadowolona czy nie z takich kolei losu, podejrzewał natomiast, że to nie los, ale Bob Quayle ponownie ich połączył. I poczuł się niewyraźnie.

Już kiedyś ukrył przed Stephanie prawdę o niekończącej się niewierności Martina - i stracił przez to jej przyjaźń. Teraz musiał dochować innej tajemnicy. Tajemnicy ojca Martina.

Stephanie otworzyła drzwi samochodu i wysiadła. Pomyślała, że pewnie Harry uważają za wariatkę, ale kiedy powiedział, że chciał ją zobaczyć, nie wytrzymała zbyt długo utrzymującego się napięcia i rozkleiła się. Harry chciał ją zobaczyć...

Gdyby wiedział, jak często czuła to samo - jak często tęskniła za jego widokiem, za rozmową z nim, za jego dającą poczucie pewności przyjaźnią.

Za jego miłością...

Piątkowy wieczór jak zwykle zaczął się względnie spokojnie, dopiero o wpół do jedenastej pojawiła się kobieta w towarzystwie męża i drugiej pary. Cała czwórka sporo wypiła i zachowywała się dość hałaśliwie.

- To się stało niedawno - oznajmił mąż, wskazując na twarz żony. - Tak jakby jej opadła, a teraz nic nie czuje.

Stephanie wzięła pacjentkę do gabinetu. Po zbadaniu stwierdziła porażenie nerwu twarzy. Kobieta była przerażona. Stephanie postarała się jak najprzystępniej wytłumaczyć jej charakter i przebieg choroby. Na pytanie, czy to minie, odpowiedziała uczciwie, że różnie z tym bywa: czasami objawy ustępują samoistnie, czasami zaleca się podawanie leków, a czasami konieczny jest zabieg chirurgiczny. Żeby nie być gołosłowną, poprosiła Harry'ego o bardziej wyczerpującą informację.

- Możemy zdziałać cuda - uspokajał kobietę Harry. - Poszerzamy kanał kostny, w którym przebiega nerw twarzy, a jeśli to nie pomaga, istnieje dużo możliwości z zakresu chirurgii kosmetycznej.

Słowa, a zwłaszcza uśmiech Harry'ego sprawiły, że kobieta trochę się uspokoiła.

Zadziwiające, co może zdziałać uśmiech, pomyślała Stephanie, zwłaszcza jeden z uśmiechów Harry'ego.

Harry wyszedł, a ona wyprowadziła pacjentkę. Spoglądając na poczekalnię, stwierdziła, że typowe dla piątku tłok i zamieszanie rozładowują się sprawniej niż zwykle.

Do drugiej sytuacja została opanowana. Dwie nastolatki, którym zaszkodziły koktajle, zostały wsadzone do taksówki i odesłane do domu; trzech młodych chłopaków, wyrzuczonych z nocnego klubu, gdzie wdali się w bójkę z ochroniarzem, odesłano do szpitala na prześwietlenie; a kobietę, której dziecko zachorowało na błonicę krtani, poczęstowano kilkoma filiżankami herbaty, w czasie gdy aparat do nawilżania uśmierzał potwornie szczekający kaszel chłopczyka.

Kiedy się zupełnie uspokoiło, Stephanie skierowała kroki do pokoju lekarskiego. Gdy zaczynała pracę w przychodni, tutejsza lodówka była pełna zapakowanych kanapek, którymi personel mógł się częstować bez ograniczeń. Ale te czasy - chyba z chwilą pojawienia się nowego właściciela - minęły i teraz każdy przynosił sobie własny prowiant.

Ale dzisiaj Stephanie zapomniała o jedzeniu.

Przeszukiwała szafki w nadziei, że może znajdzie jakiś herbatnik, kiedy rozkoszny zapach świeżej kawy powiadomił ją o obecności drugiej osoby w pokoju.

- Zjesz coś?

Harry, który właśnie stanął w drzwiach, trzymał w jednej ręce pudełko z czterema kawami, w drugiej białą plastikową torbę.

- Poznałem w Stanach zalety pączków. To szybko działający zastrzyk węglowodanów - powiedział, stawiając kawę na stole i otwierając plastikową torbę z pudełkiem polukrowanych jaskrawo pączków. - Skosztuj, a ja zaniosę kawę

Rebecę i Peterowi, bo chyba tak nazywa się pielęgniarz na dzisiejszej zmianie.

Wsypana trochę cukru do kawy, zamieszała i wybrała pączek z dżemem i z kremem.

Był wspaniały i rozpływał się w ustach.

- Och! - jęknęła z rozkoszy, połykając pierwszy kęs, po czym zastanowiła się, co w nim jest takiego szczególnego, i doszła do wniosku, że po prostu umierała z głodu. Kończyła pączka, kiedy wrócił Harry.

- Smakuje? - zapytał i wyciągnął rękę, dotykając palcem jej policzka. Kiedy się cofnęła, za późno, by uniknąć tej delikatnej pieśczoły, Harry podniósł palec, żeby jej pokazać porcyjkę kremu, który zdjął z jej policzka.

- Och!

Ale kiedy zliział krem z palca, poczuła się tak, jakby ktoś dotknął zadawnionej, ukrytej głęboko w środku rany. Nie była tylko pewna, czy to doznanie jest bolesne, czy miłe.

- Weź jeszcze - powiedział jak gdyby nic, z czego wynioskowała, że nie powinna być poruszona faktem zlizania przez niego jej kremu ze swojego palca. Bowiem ten gest nic dla niego nie znaczył.

- Polubiłeś Amerykę?

To było pytanie rozpaczy, próba odzyskania odrobiny gruntu pod nogami, który straciła, odkąd Harry pojawił się poprzedniej nocy w przychodni.

- Uwielbiam ją - odparł. - Jest taka ogromna i piękna, w pewnym sensie trochę arogancka i hałaśliwa, ale tak różnorodna, że masz wrażenie, jakbyś podróżowała po wielu bardzo różnych krajach.

Mówił o Bostonie, gdzie najdłużej przebywał, o górach w Kolorado, po których wędrował w czasie letniej przerwy. Mówił też o przyjaźniach, nie podając imion, z czego wy-

wnioskowała, że mogły być wśród nich kobiety, ale oczywiście, Harry mógł mieć przyjaciółki.

I kochanki...

Czy nie miał ich zawsze?

RS

- A Europa? Pojechałeś tam ponownie w drodze powrotnej ze Stanów.

Sposepniał.

- Tak, pojechałem - odparł, a gdy zadzwonił dzwonek oznajmiający przybycie pacjenta, nagle zmienił temat. - Idę. A ty wypocznij porządnie i zjedz drugiego pączka.

Gdy odszedł, zastanawiała się, co takiego przydarzyło się Harry'emu w Europie. Nieszczęśliwy romans?

Myśl, że mógł zostać zraniony, zabolą ją, ponieważ sama go kiedyś zraniła. Więcej niż jeden raz...

Następny dzwonek wezwał ją do pracy, wysączyła więc resztkę kawy i szybko ugryzła pączka, żeby jakoś dotrzeć do kolejnej przerwy.

Do rana pojawiło się jeszcze kilkoro pacjentów. Przeżyli też chwilę grozy, gdy do sąsiadującego z przychodnią butiku z opalami wpadł samochód, rozbijając po drodze parkometr i witrynę. Choć Harry po swoich amerykańskich doświadczeniach ostrzegał, że to może być włamanie i że pasażerowie mogą być uzbrojeni, Peter, a za nim reszta, pobiegli do samochodu, próbując otworzyć zablokowane drzwi. Urządzenie alarmowe wyło tak głośno, że tylko cudem nie ogłuchli.

Silnik dosłownie złożył się w harmonijkę i wbił się do środka, uniemożliwiając dostęp od strony kierowcy. Na szczęście Peter uporał się z drzwiami po drugiej stronie. Teraz klęczał przy nieprzytomnej kobiecie, podczas gdy Rebeka informowała, że karetka pogotowia jest w drodze.

Prawie równocześnie z ambulansem przyjechały dwa samochody holownicze. Syreny wyły, mrugały światła, a dookoła, mimo tak wczesnej pory, zebrał się spory tłum gapiów.

Z największą ostrożnością sanitariusze położyli kobietę na noszach, a lekarz przeprowadził najważniejsze badania.

Równocześnie policja i drugi pielęgniarz, używając tnących narzędzi, wydobyli kierowcę, którego twarz wyglądała jak krwawa maska. Wszystko wskazywało na to, że uderzył z całej siły w przednią szybę. Harry i Stephanie stali tuż obok w pogotowiu.

- Oczywiście jechali bez pasów. Kiedy ludzie zaczną ich wreszcie używać? - zachnął się Harry. - Skoro uderzył w przednią szybę, rnuśiał z taką samą siłą nadziać się na kierownicę. Nie wykluczam krwotoku wewnętrznego, uszkodzonego płuca, a nawet pęknięcia aorty.

Choć wydawało się, że akcja ratownicza przebiega w żółwym tempie, nie upłynęło piętnaście minut, jak karetka z dwoma pacjentami w stanie śpiączki odjechała. Policja obfotografowała miejsce wypadku, błyskały flesze, wreszcie wóz holowniczy zaczepił tył rozbitego samochodu i nie mogąc go podnieść do góry z powodu markizy przed sklepem, wyciągnął go na chodnik. Kiedy wrakiem podrzuciło na krawężniku, otworzyły się tylne drzwi i Stephanie zobaczyła na podłodze samochodu niedużą zwiniętą postać z długimi blond włosami, o tak znajomym wyglądzie, że krzyknęła rozpaczliwie.

Cały ruch zamarł, kiedy biegła do samochodu.

- To nie jest Fanny - powiedział łagodnie Harry, który w jednej chwili znalazł się przy niej, wyciągnął do niej ręce i chwycił w ramiona.

To nie była Fanny, ale dziewczynka nie żyła, choć oboje z Harrym nie przyjmowali tego do wiadomości, reanimując ją aż do przyjazdu drugiej karetki. Kiedy odjechała, Harry poprowadził Steph z powrotem do przychodni.

- Powinniśmy byli tam zajrzeć - powiedziała łamiącym się głosem. - Gdybyśmy ją zobaczyli wcześniej, może byśmy ją uratowali.

- Nie zobaczylibyśmy jej. Przednie siedzenie było wygięte do tyłu. Poza tym uderzenie było tak silne, że biedactwo zginęło prawdopodobnie na miejscu. Z winy bezmyślnych rodziców, którzy nie przypięli jej pasami.

W przychodni pojawiła się już dzienna zmiana. Wszyscy stłoczyli się w recepcji i komentowali wypadek.

Harry i Steph przeszli obok i udali się prosto do pokoju lekarskiego.

- Weź torbę, zawiozę cię do domu - powiedział Harry.

Stephanie kiwnęła głową na znak zgody. Była tak otępiąta, iż chętnie przystała na to, że ktoś inny podejmuje za nią decyzję. Ale jej kończyny odmówiły posłuszeństwa. Stała więc nieruchomo, sparaliżowana niedawnym strachem, dopóki Harry nie wziął jej w ramiona, nie przytulił do siebie i masażem nie przywrócił życia mięśniom jej szyi i ramion.

A gdy się odprężyła, poczuła instynktowną potrzebę oparcia się na nim. Na silnym ciele Harry'ego...

- Lepiej? - zapytał półgłosem.

Podniosła głowę i popatrzyła w jego zatroskane oczy.

- Chyba tak - wyjąkała.

- Może to ci pomoże - wyszeptał, pochylając głowę i całując ją w usta.

Tak była oszołomiona pocałunkiem, że nie zareagowała natychmiast. A gdy po chwili, czując, jaką jej to sprawiło przyjemność, chciała odwzajemnić pocałunek, było już za późno. Harry nie tylko podniósł głowę, ale odszedł od niej, a jej ciało straciło oparcie i całe ciepło, które jej przekazał.

- Chodź, odwiozę cię do domu - rzekł głosem pobawionym emocji, zdradzając tym samym, że w przeciwieństwie do niej niczego równie cholernie dobrego nie poczuł - ani trzymając ją w ramionach, ani całując ją.

Towarzyszył jej do samochodu, ale gdy wsiedli, zamiast skręcić w stronę jej domu, obrał inny kierunek. Chciała zapytać dlaczego, ale wołała nie robić z siebie idiotki, która z trudem duka słowa.

- Przejeżdżałem tamtędy wczoraj i zauważyłem, że Albert nadal prowadzi firmę - powiedział, wyjaśniając spokojnie to, co chciała wiedzieć. - Nie powinnaś w takim stanie pokazywać się Fanny. Zatrzymamy się i zjemy solidne, tłuste śniadanie. W ten sposób zapomnisz o dzisiejszych przeżyciach i usuniesz z pamięci przykre obrazy.

- Obawiam się, że mogłabym zwrócić obfite, tłuste śniadanie.

- Zaryzykuję. Posunę się nawet do tego, że potrzynam ci głowę.

- Faj! - obruszyła się, ale nawet taka rozmowa zneutralizowała efekt pocałunku i złagodziła sytuację.

- Oczywiście pójdzie do restauracji Alberta stwarzało nowe problemy. Jadali tutaj we troje, zwłaszcza po całonocnej nauce w domu Quayle'ów, bywali tu przy różnych okazjach, a ponieważ miejsce ani trochę się nie zmieniło, przywołało masę wspomnień.

- Źle wybrałem? - zapytał Harry, dostrzegając jej wahanie.

- Nie, co prawda nie byłam tu od lat, ale przecież dobrze się tutaj bawiliśmy, więc się zadumałam.

Samego Alberta nie było w zasięgu wzroku, a młody mężczyzna przy długim kontuarze był obcy. Kładąc rękę na ramieniu Stephanie, Harry poprowadził ją do boks w rogu restauracji, zaczekał, aż wsunie się na siedzenie, po czym poszedł złożyć zamówienie.

Koncentrując się na sprawach przyziemnych, starał się; zapomnieć o pocałunku. Co za głupota, żeby ją całować,

skoro jest do niego tak źle nastawiona! Nic dziwnego, że zareagowała w taki sposób. To znaczy, w ogóle nie! zareagowała!

Do licha, lepiej już, żeby go spoliczkowała. Przynajmniej byłoby wiadomo, że coś poczuła!

Wrócił z dzbankiem kawy i dwoma kubkami, i dalej grał rolę oddanego przyjaciela.

- Przepraszam, że zrobiłam z siebie widowisko - powiedziała, sypiąc cukier do kawy, nie tracąc nadziei, że nie zauważył jej reakcji na pocałunek. - Ale pomyślałam o Fanny.

Przykrył jej rękę swoją.

- Oczywiście. I wcale nie zrobiłaś z siebie widowiska. Zareagowałaś jak każdy rodzic. Sam też paskudnie się poczułem.

Uśmiechnęła się do niego, ponieważ mu uwierzyła, ponieważ dotyk jego ręki sprawiał jej przyjemność, ponieważ miło było być znowu z Harrym - mieć przyjaciela, którego naprawdę potrzebowała. Z drugiej strony wiedziała, że nie powinna rozhartować się do końca, dać się ponieść chwili, gdy tak wiele ciemnych chmur nagromadziło się między nimi.

Chyba że zaryzykuje na czas wspólnego posiłku...

Widział jej rozterkę. Wiedział, że zastanawia się, jak długo może trwać ich rozejm. I tak bardzo chciał ją uspokoić, zapewnić, że nigdy jej nie zawiedzie. Ale wspomnienia tego, co ona uważała za szczyt zdrady ich przyjaźni, obudziły się na nowo z powodu niewdzięcznej 'roli, w jakiej się znalazł.

Znów ktoś z rodziny Quayle'ów stawia go w kłopotliwej sytuacji! Już chciał powiedzieć, że nigdy więcej nie sprawi jej zawodu, gdy podszedł kelner i postawił przed nimi jedzenie. Tłuste kielbaski owinięte chrupiącym bekonem,

jajka na grzankach i przypieczone plastry pomidorów tworzyły barwną całość.

- Och, nawet nie zdawałam sobie sprawy, jaka jestem głodna! - zawołała Stephanie, której na widok jedzenia zaświeciły się oczy.

Zaatakowała śniadanie z takim apetytem, że aż się uśmiechnął, ponieważ zobaczył dawną Steph - dziewczynę, dla której życie było zabawą, podniecającą przygodą albo wyzwaniem, któremu trzeba wyjść naprzeciw i się z nim zmierzyć. Odkrycie, że ta dziewczyna nadal żyje w skórze tej zbyt szczupłej, wyglądającej na zmęczoną kobiety - było niesłychanie krzepiące, i Harry zdał sobie sprawę, że nadal ją kocha.

Oszołomiony tym odkryciem, wziął widelec i nóż, starając się skoncentrować na jedzeniu. Coś jednak musiało zadziałać, bo gdy Stephanie mignęła widelcem i wbiła go w kawałki jego bekonu, automatycznie przyszpilił go do talerza swoim nożem.

- Poproś ładnie - powiedział, podnosząc wzrok i dostrzegając błysk radości w jej oczach, który szybko przeszedł w tak głęboki smutek, że poczuł ucisk w sercu.

- Nie cofniemy czasu, Harry, prawda? - powiedziała słabym głosem, po czym odsunęła swój talerz i sięgnęła po kawę, ujmując kubek obiema rękami, jakby chciała się ogrzać.

Cały czas przyglądała mu się uważnie.

- Nie, Steph. Ale nie widzę powodu, dlaczego pozostałe dni nie miałyby być równie dobre, a nawet lepsze.

- Tak uważasz? - zapytała, sięgając po grzanekę. Nie miał na to odpowiedzi, wiedział natomiast, że Steph

szykuje się do odejścia, że chce jak najprędzej zobaczyć Fanny i upewnić się, że wszystko jest w porządku.

- Chodź, odwiozę cię do domu - rzekł po raz kolejny, kiedy Stephanie definitywnie skończyła jeść, a jemu samemu zaczęło się robić niedobrze od zbyt obfitego śniadania.

Jechali w milczeniu, zaskoczeni odkryciem, że przestało nagle padać. Gdy dojeżdżali do głównej bramy, zza chmur wyrzało słońce, rzucając snop światła na domek i wybujały, rozmokły ogród.

Harry czekał, pragnąc, by Steph zaprosiła go do środka, jednocześnie zdając sobie sprawę, że im mniej będzie ją widywać, tym lepiej - przynajmniej do czasu przejrzenia zamiarów Boba Quayle'a i dowiedzenia się czegoś więcej na temat ciężkich warunków życia Steph.

- Dziękuję za poranek - powiedziała, kładąc rękę na jego ramieniu. - Naprawdę jestem ci wdzięczna.

Nie musiał się wymawiać od zaproszenia, gdyż w ogóle nie padło, ale ręka na jego ramieniu okazała się nową pokusą. Zamknął ją w swojej, po czym w odpowiedzi ograniczył się do zdawkowego:

- Zawsze do usług!

Pomyślał, że najpierw musi porozmawiać z Bobem i zorientować się, o co tak naprawdę chodzi, a dopiero potem - już bez żadnych sekretów - znowu przyjść do Steph.

- Pozdrów ode mnie Fanny i powiedz, że wkrótce ją odwiedzę - rzekł na koniec.

Przechylił się i pocałował Steph w policzek, delektując się chłodem jej skóry, zapachem kawy i czymś delikatnym, będącym esencją kobiecości.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Pierwsze, co zrobił z samego rana, to zadzwonił do Boba, który sądząc po głosie, wydał się niezmiernie zadowolony i zaprosił go do domu na lunch.

Zaraz po gorącym powitaniu oznajmił Harry'emu, że po południu oczekuje wizyty Stephanie i Fanny, co Harry odebrał jak nieoczekiwany cios.

- To będzie ich próbna wizyta - z goryczą w głosie wyjaśnił starszy pan. - Z nakazu sądu i pod opieką samej Stephanie. Wyobrażasz sobie?

A zatem potwierdzały się pewne podejrzenia Harry'ego, choć nadal nie wiedział, skąd tak oczywista animozja wśród jakby nie było spokrewnionych ze sobą ludzi.

- Widziałem Steph. Pracuje w tej przychodni. Musiałeś o tym wiedzieć.

Jeśli się spodziewał, że wprawi Boba w zakłopotanie, grubo się pomylił.

- Tak, słyszałem o tym - odparł Bob, jakby go to nic nie obchodziło. - I zostawia Fanny z jakąś nastolatką. Dziewczyna może być narkomanką, może też sprowadzać do domu nieodpowiednich mężczyzn. Fatalnie!

Harry powstrzymał się z obroną Tracy, która wydała mu się wyjątkowo miłą i udaną dziewczyną, i zamiast tego zapytał o Doreen, na co zaprowadzono go do patio przy base-

nie, gdzie Doreen leżała na fotelu ogrodowym i opalała swoje odchudzone zgodnie z modą ciało.

Harry przywitał się z nią wylewnie, pamiętając, jaka była dla niego miła w czasach studenckich, gdy znalazł się z dala od rodzinnego domu. Rozmawiali swobodnie o dawnych czasach i o Martinie, a także o tym, jak dobrze się kiedyś bawili, ale gdy zjedli wyborny lunch podany w pobliżu basenu, niepokój Harry'ego zaczął się wzmagać.

Słuchał jej powierzchownie.

Jego myśli zaprzętały Stephanie i Fanny, i wyraźnie niezdrowe stosunki między Stephanie a Quayle'ami. I po czyjej opowie się stronie, gdy zjawi się Steph i zastanie go pijącego doskonale wino, jedzącego wystawny deser z ludźmi, których być może ona uważa za wrogów?

- Naprawdę muszę już iść - powiedział, odsuwając nieodjedzony deser i odstawiając kieliszek wina. - Nie spałem ostatniej nocy.

- Nie, proszę, zostań.

Doreen położyła rękę na jego ramieniu, podczas gdy Bob, mrucząc coś na temat ważnych telefonów, przeprosił ich i zniknął w głębi domu.

- Proszę, Harry. Było nam tak ciężko, tak bardzo ciężko, najpierw po stracie Martina, a potem, kiedy zostaliśmy odseparowani od jedynej wnuczki. Nie wiem, co ci powiedział Bob, ale mamy nadzieję, że może porozmawiasz ze Stephanie w naszym imieniu.

Czy to z tego powodu Bob poprosił go o przyjrzenie się przychodni? Niewykluczone.

Ale żeby miał rozmawiać ze Stephanie w ich imieniu?!

Tak! Stephanie lada chwila tu będzie, zmiążdży go wzrokiem i więcej się do niego nie odezwie!

Jak, u licha, mógł się wpakować w podobną sytuację? A co ważniejsze, jak ma się z niej wydostać?

Doreen nie przestawała mówić, starał się więc nadążać za tokiem jej myśli, ale albo jego mózg przestał działać, albo wypił za dużo wina, faktem jest, że prawie nie chwycił sensu.

A kiedy w potoku słów Doreen usłyszał, że Martin zabił się z wina Stephanie, która zaczęła rodzić o dwa tygodnie za wcześnie, pomyślał, że chyba śni. Zdumionym wzrokiem wpatrywał się w starszą panią i zastanawiał, czy rzeczywiście wierzy w to, co mówi. I czy to samo powiedziała Steph?

Nic dziwnego, że obie strony czują do siebie wrogość.

- Oto nasza laleczka, nasze maleństwo.

Głos Boba i jego słowa skierowane najprawdopodobniej do Fanny ucięły nadzieję Harry'ego na ucieczkę, i tak jak przewidział, wściekły wzrok Stephanie na widok pełnej zazyłości sceny przy obiadowym stole przeszył go jak szpada.

Natomiast Fanny była zachwycona jego obecnością, była jednak na tyle rozsądna, że najpierw grzecznie pocałowała babcię, a dopiero potem radośnie rzuciła się do Harry'ego.

- Popływasz ze mną i z dziadkiem? - zapytała. - Mama uważa, że jest za zimno, ale ja wiedziałam, że dziadek będzie chciał popływać, i wzięłam kąpielówki.

Fanny pobiegła z powrotem do matki, która stała jak kamienny słup na drugim końcu patia.

- Naprawdę muszę iść - rzekł Harry, choć wiedział, że gdy chodzi o przykrość wyrządzoną Stephanie, i tak jest za późno.

Bob spojrział na niego, potem na swoją synową i znowu na niego, ale jego twarz była nieprzenikniona.

- Porozmawiamy jutro - powiedział. - A skoro wreszcie przestało padać, może zechcesz wpaść do szpitala i poroz-

mawiać z dekoratorem na temat tkanin, które by ci pasowały do mieszkania.

Harry raczej poczuł niż zauważył reakcję Stephanie, a kiedy się odwrócił, żeby się pożegnać, spojrzenie, jakie mu posłała przez zmrużone oczy, było bardziej niż jadowite.

Mimo to uprzejmie skinęła głową, choć na widok reakcji Fanny na odejście Harry'ego żal ścisnął jej serce. Jej ukochana córeczka straciła swojego wujka Harry'ego, jeszcze zanim zdążyła dobrze go poznać.

Kolejny raz uległa pokusie i zaufała Harry'emu, żeby go prawie natychmiast zastać w obozie wroga!

Usiadła niedaleko Doreen w fotelu, który był jeszcze wygrzany przez Harry'ego. Fanny sięgnęła do wielkiej torby, wyciągnęła kąpielówki i zniknęła w kabinie, żeby się przebrać.

Po chwili oboje z Bobem kąpali się i pluskali w wodzie.

- Gdybyś tu zamieszkała, mała mogłaby codziennie pływać - zauważyła Doreen, powtarzając słowa, które wypowiedziała w każdą niedzielę.

- Tak - odpowiedziała Steph, ucinając dyskusję.

- Teraz, kiedy twoja matka ponownie wyszła za mąż i podróżuje, nie musisz się już nią zajmować - dodała Doreen.

To była nowa taktyka i Stephanie musiała się zastanowić nad odpowiedzią, żeby nie wpaść w jakąś pułapkę.

- Nigdy nie musiałam się nią zajmować, natomiast potrzebowałam jej bardziej niż ona mnie - odparła po namyśle.

- Zwłaszcza wtedy, kiedy Fanny była malutka.

- Mogłaś mieszkać tutaj. Powinnaś była mieszkać tutaj! Dom Fanny jest tutaj.

Głos Doreen stał się nieprzyjemnie ostry.

- Nie wracajmy do tego - poprosiła Steph, zastanawiając się po raz nie wiadomo który, dlaczego nigdy nie postawiła

jasno sprawy i nie powiedziała Quayle'om, dlaczego z nimi nie zamieszka.

Ale to by zniszczyło ich obraz Martina, zbrukało jego pamięć, a przecież nie zasłużyli na to. Nie zrobili nic złego poza tym, że za bardzo go kochali i pozwalali mu na wszystko.

- Mogłaby z niej być świetna pływaczka - dodała Doreen, a Stephanie zamknęła oczy, modląc się o cierpliwość.

Wyruszając wieczorem do pracy, była zmęczona, spięta i pełna obaw.

- Gdyby pojawił się Harry Pritchard - powiedziała Rebecce - nie chcę go widzieć pod żadnym pozorem.

- Dobra - odparła Rebeka, ale ostrzeżenie okazało się niepotrzebne, bowiem Harry nie przyszedł.

Steph nie była pewna, czy cieszyć się, czy złościć z tego powodu. Nie chciała go widzieć, ale z drugiej strony wołałyby sobie ulżyć i powiedzieć mu, co o nim myśli.

W przychodni wrzało od domysłów i plotek. A to, że została ponownie sprzedana, że wkrótce zostanie zamknięta, że nie będzie przyjmować pacjentów płacących ryczałtową opłatę pokrywaną przez kasę chorych. Uprowadzona przez zmienników nocna zmiana zebrała się w pokoju lekarskim, obracając w palcach koperty, ociągając się z ich otwarciem.

No i stało się! Znajdujące się w środku pismo informowało, że przychodnia jest nierentowna i że właściciele są zmuszeni przerwać jej działalność.

Od tej niedzieli! Niedzielna nocna zmiana jest ostatnia, a od poniedziałku przychodnia będzie zamknięta.

Steph ze zdumieniem wpatrywała się w treść notatki, pewna, że to jakaś pomyłka, i dopiero głośny szloch Rebeki wskazał, że i ona otrzymała taką samą informację.

- To jakaś bzdura - powiedział Collin, drugi lekarz z nocnej zmiany. - Nie można ot tak sobie zamknąć takiego miejsca. A co z pacjentami, co z ludźmi, którzy potrzebują natychmiastowej pomocy? I dokąd mają się udać? Do państwowego szpitala, dziesięć kilometrów stąd, gdzie będą czekać Bóg wie ile, zanim zostaną przyjęci?

- Jesteś stanowczo lepszym człowiekiem ode mnie - odezwała się Stephanie. - Bo ja myślę tylko o tym, gdzie znajdę pracę, a nie o tym, dokąd udadzą się pacjenci.

- Sądzę, że zwrócę się do agencji - powiedział Collin. - Miewają propozycje pracy na nocnej zmianie w szpitalnym pogotowiu.

Uśmiechnął się pokrzepiająco do Stephanie.

- Mogłabyś i ty z tego skorzystać - dodał, ale Stephanie potrząsnęła głową.

- Dyżury są niekorzystnie ustawione - westchnęła. - Nie mogłabym przebywać z Fanny wtedy, kiedy jestem jej potrzebna.

- To przez tego gościa! - mruknęła Rebeka, zwracając się do Stephanie. - Twojego przyjaciela Harry'ego.

- Nie! - zaprotestowała bez namysłu, ale gdy w tej samej chwili poczuła ucisk w dołku, uznała, że może nie ma racji.

Harry miał się rozejrzeć, jak działa przychodnia. Ale przecież nie dla siebie. Więc ktoś za tym stoi! Kim są nowi właściciele?

Nagle skojarzyła wymówienie z wizytą Harry'ego u Quayle'ów i żołądek podjechał jej do gardła.

Czyżby wojna wypowiedziana jej przez Quayle'ów wkroczyła już w taki etap, że Bob wykupił przychodnię i zamknął po to, żeby pozbawić ją pracy? I zmusić, żeby zamieszkały z Fanny u nich i przeszły na ich utrzymanie?

Przepracowała noc, a rano wiedziała już dokładnie, komu zawdzięcza swoją obecną sytuację. Bob wspominał coś

o pracy Harry'ego w nowym szpitalu. Pomyślała, że może tam dadzą jej numer jego telefonu.

Ale przy ławym pożegnaniu z Rebeką i zapewnieniu, że pozostaną w kontakcie, przypadek oszczędził Stephanie telefonowania.

- Powinniśmy pojechać na górę i powiedzieć temu Harry'emu Pritchardowi, co o nim myślimy - oświadczyła Rebeka.

- Na górę? - jak echo powtórzyła Stephanie. - Harry mieszka w tym budynku?

- Nie wiedziałaś? - zdziwiła się Rebeka. - Zresztą możesz nie wiedzieć, ale kiedy przyszedł tu pierwszy raz, powiedział, że zjechał z góry, a ja go zapytałam, gdzie mieszka. Apartament siedemdziesiąt cztery na dwunastym piętrze. Nawet nie wiem, jakim cudem to zapamiętałam.

Teraz wszystko stawało się jasne. Bob, który zbudował ten wieżowiec, przehandlował mieszkanie za szpiegowanie jej miejsca pracy.

- Idź do domu - rzekła do Rebeki. - Sama się porachuję z Harrym Pritchardem!

Trzęsąc się z wściekłości, przebiegła hol i wpadła do windy. Kiedy wysiadła na dwunastym piętrze, nadal zalewała ją złość i uniemożliwiała jakiegokolwiek racjonalne myślenie. Idąc, rozglądała się i wypatrywała numeru mieszkania. Znając Boba, który zawsze musiał mieć wszystko co najlepsze, okna powinny wychodzić na plażę i na Pacyfik!

Gdy wreszcie trafiła, wcisnęła guzik i nie zdejmowała z niego palca.

- Już idę, idę. - Nawet przez drzwi słychać było irytację Harry'ego na nieprzerwane brzęczenie dzwonka.

Wreszcie nagłym szarpnięciem otworzył drzwi i złość Stephanie na chwilę wywietrzała, zaś serce podskoczyło

parę razy, gdy stanęła na wprost szerokiej, nagiej piersi Harry'ego. Odruchowo spojrzała niżej. Na szczęście od pasa w dół był ubrany - miał na sobie spodnie od pizamy w niebiesko-białe paski.

- Steph?

Jego zdumienie, albo raczej udawane zdumienie, przypomniało jej o misji, z jaką tutaj przybyła, więc dźgnęła go palcem w sam środek klatki piersiowej.

- Ty draniu! Ty oszuście! Ty zdrajco! Wprost nie mogę uwierzyć, że znów mi to zrobiłeś. Pozwoliłam ci zobaczyć moją córkę, której mówiłam o tobie same miłe rzeczy, żeby uważała cię za kogoś wspaniałego, a ty wracasz do Australii i znowu macisz w moim życiu!

Harry cofnął się trochę, być może z powodu jej potężnego dźgnięcia, ale nie ustępował łatwo. Stephanie postąpiła krok do przodu i nie przestawała akcentować swoich racji, dźgając go palcem wskazującym w zagłębienie mostka.

- Otóż wiedz, że nic z tego! Quayle'owie nie wygrają, a wiesz dlaczego? Bo ty mi to zrekompensujesz. Znajdziesz mi inną pracę, od zaraz, nawet gdybym miała pracować dla ciebie w twoich odpicowanych gabinetach w szpitalu Boba Quayle'a! Ale nawet gdybym miała odkurzać dywany, będę pracować w godzinach, które mnie odpowiadają, i będziesz mi płacić jak lekarzowi. Zrozumiano?

Zdumiały ją jej własne słowa. Ani przez chwilę o czymś takim nie myślała. Ale jej zdumienie było niczym w porównaniu z szokiem Harry'ego.

A skoro tak, trzeba naciskać dalej.

- Zgadzasz się? - zapytała, po czym martwiąc się, że może się spóźnić do domu, spojrzała na zegarek.

Czy to możliwe, żeby od wyjścia z przychodni minęło zaledwie pięć minut?

- Napijmy się kawy i porozmawiajmy jak ludzie, nie jak aktorzy marnej opery mydlanej - zaproponował Harry.

Poszedł w stronę kuchni, a ona, chcąc nie chcąc, za nim. Nie podobał jej się fakt, że to on wydaje rozkazy, co nie znaczy, że musi mu być posłuszna. Zatrzymała się więc na progu dzielącym jadalnię od kuchni, spoglądając przez nie zasłonięte okna na jeszcze ciemny ocean i na jaśniejące niebo na wschodzie, skąd wkrótce wyjrzy słońce.

Nie zwracając na nią uwagi, stojąc do niej tyłem, Harry wyjął kubki, wsypał porcję rozpuszczalnej kawy, nalał wody do elektrycznego czajnika i włączył go. Kiedy kawa była gotowa, posunął kubek w jej stronę.

- A teraz zacznij od początku. Nie od tej części z dramem, tylko wcześniej. Co się stało, że potrzebujesz pracy?

- Zamknęli przychodnię - rzuciła mu niemal w twarz. - Tak jakbyś tego nie wiedział - dodała, podsycając w sobie złość.

Ponieważ nie skorzystał z krótkiej przerwy, jaką musiała zrobić na złapanie oddechu, ponownie przypuściła szturm.

- No więc co powiedziałeś Bobowi Quayle'owi? Domyślam się bowiem, że to on kupił przychodnię. Bob, nowy właściciel, działający z ukrycia, wykonujący brudną robotę cudzymi rękami! Tylko on...

- Steph... - spokojnym głosem przerwał jej tyradę i jednocześnie wyciągnął do niej rękę, a ona na chwilę zastygła.

Wyrwała ją, ale nie dość szybko, skoro ciepło jego palców pozostało na jej skórze.

- Powiedz mi, o co chodzi. Skąd się bierze twój paranoidalny stosunek do Quayle'ów? Dlaczego uważasz, że tylko Bob mógł zamknąć przychodnię? Dlaczego sądzisz, że celowo pozbawił cię pracy?

Postanowiła dalej atakować.

- A co, może powiesz, że Bob nie jest nowym właścicielem? Że nie pracowałeś dla niego?

- Nie, tego nie powiem - odparł Harry. - Bob rzeczywiście kupił przychodnię i rzeczywiście poprosił mnie, żebym się w niej rozejrzał...

- A ty mu doradziłeś, żeby ją zamknął.

- Doradziłem mu coś wręcz przeciwnego: że przychodnia może być dochodowym przedsięwzięciem, jeśli skończy z ryczałtowymi opłatami pokrywanymi przez kasę chorych.

- Możliwe, ale w wypowiedzeniach pracy powołano się na argument niezależnego doradcy, który wytknął jej nierentowność. Chcesz powiedzieć, że to nie ty jesteś tym niezależnym doradcą?

- Chcę powiedzieć, że nikomu nie doradzałem zamknięcia przychodni - powtórzył Harry, zaniepokojony stanem umysłu Steph, objawiającym się chorobliwą niechęcią do Quayle'ów, jeśli nie wręcz szkalowaniem ich. To prawda, że przychodnia została zamknięta wbrew jego zaleceniom, ale żeby posądzać Boba o wypowiedzenie wojny Steph?

- Co takiego wydarzyło się między tobą i Quayle'ami? - ponowił pytanie.

Stephanie zesztyniała, a po chwili zaczęła drżeć.

- Steph!

Musiał do niej podejść i przytrzymać ją, ale wywinęła się z jęgo uścisku i przeszła na drugi koniec pomieszczenia, stanęła przy przeszklonej ścianie, pochyliła głowę i zwiesiła ramiona, obejmując się rękami w obronnym geście - rysując się na tle czarodziejskich barw wschodzącego słońca, nieświadoma ich piękna.

Stała nieruchoma jak posąg. „Ból”, „Rozpacz” - tak mógłby zatytułować swoje dzieło artysta.

- Powiedz mi, co się stało.

W odpowiedzi usłyszał szyderczy śmiech.

- Od czego mam zacząć? - zapytała po chwili. -I w jakim celu? Przecież nie uwierzysz w ani jedno moje słowo, nawet po tym, jak zobaczyłeś Boba w akcji! Istotą rzeczy jest fakt, że Bob nie lubi przegrywać i tracić. A chce, zawsze tego chciał, żebyśmy zamieszkały z Fanny razem z nim i z Doreen. W tym celu posunął się do pozbawienia mnie pracy.

Odwróciła się teraz, wyprostowała ramiona i spojrzała mu w oczy.

- A mówiąc ściślej, wolałby, oboje by woleli, mieć Fanny beze mnie, i taki jest jego ukryty zamiar. Stara się udowodnić, że jestem złą matką, i przy pierwszej nadarzającej się okazji nie zawaha się wystąpić o przyznanie mu opieki nad małą. Czy wiesz, że miał czelność śledzić Tracy? Wynając dwóch oprychów, którzy chodzili za moją kuzyneczką? Byli na tyle głupi, że nawet się nie kryli, a ona była przerażona, że chcą ją napaść, ale kiedy zadzwoniłyśmy na policję, Bob zbył to śmiechem, jak jakiś najlepszy żart!

- Steph, przyjmuję do wiadomości wszystko, co mówisz, ale czy naprawdę jest aż tak źle? Czy, patrząc na to oczami Boba, życie w luksusie jest aż tak okropne? I czy to źle, że chciał wiedzieć, kto opiekuje się jego wnuczką w czasie twojej nieobecności?

- Mógł mnie zapytać o Tracy - warknęła Stephanie.

- A jeśli chodzi o zamieszkanie z nimi, to mogę tylko wyrazić zdziwienie, że o to pytasz. Czy potrafisz spojrzeć trzeźwo i chłodno na to, jakim w gruncie rzeczy człowiekiem był Martin? I czy zaprzeczysz, że wszystkiemu winne było wychowanie, jakie otrzymał?

Wzruszyła ramionami.

- Oboje kochaliśmy Martina, Harry. Był zdolny, bystry i zabawny, był też dobry i hojny, ale pod tym Martinem krył się inny Martin, wychowany w przekonaniu, że wszystko mu się należy, że za pieniądze można wszystko zdobyć, przeświadczony o tym, że chęć posiadania czegokolwiek jest wystarczającym usprawiedliwieniem, żeby to mieć. Albo to wziąć! - Stephanie zamilkła na chwilę. - Czy nigdy nie pomyślałeś - dodała łagodnie - że dopiero kiedy się mną zainteresowałeś, dostrzegając we mnie kobietę, nie tylko przyjaciela, Martin wykonał swój pierwszy ruch? Zwalił mnie z nóg całym swoim wdziękiem i hojnością, a także, o czym się później przekonałam, doświadczeniem i wprawą, których mu nie brakowało. A ja dałam się na to złapać. Zakochałam się i wierzyłam w każde jego kłamstwo.

Zadrżała, jakby otrząsała się z przeszłości, i popatrzyła na Harry'ego.

- Nie dopuszczę do tego, żeby moją córkę wychowywano tak jak Martina! - oznajmiła, rzucając wyzwanie każdym słowem.

Po czym podeszła do drzwi i otwierając je, odwróciła się na chwilę w jego stronę.

- Będę z tobą w kontakcie w sprawie pracy - oświadczyła i zniknęła, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- To ty? Masz mi już coś do powiedzenia na temat pracy? - zapytała Steph, otwierając Harry'emu drzwi. -Może wejdiesz? - dodała.

Zaproszenie było mało zachęcające, a jednak gotów był przyjąć każdy ułamek czasu, ofiarowany mu przez Steph. Nie przypuszczał, że tak rozpaczliwie będzie łaknął jej widoku i że uda się do niej jeszcze tego samego dnia.

Wszedł za nią do kuchni, gdzie teraz ona odwróciła się, by nalać wody do czajnika, wyjąć kubki z kredensu i zrobić kawę. Tylko że jej była prawdziwa, nie ekspresowa, zaparzona w maszynie, którą jej podarował na dwudzieste pierwsze urodziny.

Martin podarował jej wówczas samochód.

Który natychmiast zwróciła.

Wychowywana tylko przez matkę, nauczyła się radzić sobie sama - i płacić za siebie. Jej niezależny duch był jej sprzymierzeńcem w wojnie z Quayle'ami.

- No to mów - rzekła, kiedy nalała każdemu z nich kawy i postawiła przed nim kubek na stole.

Sama nie usiadła, tylko oparła się o kuchenną szafkę, i choć nie objęła się rękami, jej postawa była tak samo obronna jak wcześniej.

- Powiedz, jaki zatrudniasz personel? Podpisałeś już umowy z ludźmi? Znajdzie się dla mnie jakieś miejsce u ciebie?

- Steph! - oburzył się. - Chyba nie mówisz poważnie na temat tej pracy. Wiem, że dziś rano byłaś zdenerwowana, ale nie wierzę, żeby na rynku było aż tylu lekarzy z odpowiednim stażem, żebyś nie mogła zarejestrować się w agencji i od poniedziałku zacząć szukać nowej pracy. Zgodnej z twoimi kwalifikacjami.

- Nie znajdę takiej pracy, która pozwoli mi spędzać z Fanny tyle czasu, ile chcę. Wiem, co mówię. Obecnie agencji nie interesują ludzie, ale ilość wolnych etatów, które mogą obsadzić. Tylko na tym robią interes. Och, są przemili podczas pierwszej rozmowy - oczywiście, doktor Prince, rozumiemy panią doskonale - więc zaczynam pracować od dziewiątej do wpół do trzeciej po południu, albo na nocnej zmianie od dziewiątej do piątej, po czym grafik się zmienia - wtedy zawsze bardzo przepraszają - a ja płacę za dodatkowe godziny pobytu Fanny w przedszkolu, którego ona nie znosi, zresztą ja też, zaś Quayle'owie mają jeszcze jeden argument przeciwko mnie.

Harry upił łyk kawy.

- Naprawdę nie wiem, jak mogę ci pomóc - powiedział. - Dopiero zaczynam praktykę. Muszę rozkręcić interes. Nie sądzę, żebym na początek zatrudnił kogoś poza recepcjonistką, która w miarę potrzeby będzie też pełnić funkcję pielęgniarki. Mam nadzieję, że sprzątaniami zajmie się szpital.

- A zatrudniłeś już tę pielęgniarko-recepcjonistkę? - zapytała. - Podpisałeś z nią umowę?

Harry potrząsnął głową.

- Niezupełnie - przyznał. - Rozmawiałem z agencją. W poniedziałek mają przysłać ludzi na rozmowy. Nie zacznę

przyjmować pacjentów wcześniej niż za trzy tygodnie, więc to nie było takie pilne.

- Do czasu, kiedy zostałam zredukowana - stwierdziła zwięźle. - Lepiej odwołaj te rozmowy.

Popatrzył na nią ze zdumieniem, nie mogąc uwierzyć, że potrafi grać aż tak ostro.

- Steph... - zaczął, ale podniosła rękę, żeby uprzedzić jego sprzeciw.

- Nie, to mi absolutnie odpowiada. Dopiero zaczynasz, więc jeszcze nie będziesz miał za wielu pacjentów. Mogę pracować od dziewiątej do wpół do trzeciej, następnie w czasie przerwy na lunch wyskoczyć i odebrać z przedszkola Fanny, a potem przywieźć ją do szpitala, gdzie mogłaby się bawić w jednym z gabinetów do końca mojej pracy.

Uśmiechnęła się do niego szeroko, a on odpowiedział takim samym uśmiechem gdzieś z głębi serca, podczas gdy rozum ostrzegał go, że to niczego dobrego nie wróży.

- Najlepsze z tego wszystkiego jest to - ciągnęła, potwierdzając jego podejrzenia - że Bob dostanie szału na myśl, że wywalił mnie z jednej pracy, gdy tymczasem ja nadal pracuję, a do tego w jego ukochanym nowym szpitalu!

- Steph, to są dziadkowie Fanny. Czy nie można tego załagodzić, czy naprawdę musicie prowadzić wojnę?

- Tak - odrzekła krótko i stanowczo. - A jeśli ci to przeszkadza, tym gorzej. Już raz opowiedziałeś się po jednej stronie, gdy zataiłeś przede mną brudne sprawy Martina, i jak widać nie zmieniłeś frontu. Ale Fanny jest twoją chrześną córką, więc może dla jej dobra zatrudnisz mnie u siebie, przynajmniej dopóki nie znajdę czegoś w odpowiadających mi godzinach.

Stephanie miała nadzieję, że jej głos brzmi pewnie i zdecydowanie, w przeciwieństwie do tego, co czuła. We-

wnętrz była niepewną siebie roztrzęsioną galareta, tym bardziej że wiedziała, iż swoimi słowami rani Harry'ego. Ale on także ją zranił, i choć teraz robiła to wszystko dla córki, a nie z chęci odwetu, to jednak – szczypta słodkiej zemsty dodawała smaczku jej postanowieniu.

I myślała tak, dopóki nie spojrzała na niego i nie wyczytała bólu w jego oczach.

- Harry, to nie moja wina! - zawołała, modląc się jednocześnie, by ją zrozumiał. - Przecież sam powiedziałeś, że radziłeś Bobowi utrzymać przychodnię, a tymczasem on ją zamknął! To jego stałe metody wobec mnie, odkąd urodziłam Fanny.

Ale było za późno. Harry wstał i ruszył w stronę frontowych drzwi.

- Nie poznaję cię, Steph - rzekł na odchodnym. - Wiesz, gdzie jest szpital. Możesz zacząć pracę w poniedziałek od dziewiątej - dodał. - Będziesz musiała zorganizować meble, komputery, opracować system rejestracji pacjentów i zamawiania wizyt, to wszystko. Zakładam, że to potrafisz.

- Akurat! - mruknęła do siebie, z góry planując, że zadzwoni do Rebeki i dowie się, co i jak ma zrobić.

Nie czekał na jej odpowiedź, ale zatrzymał się na podworku, by przez chwilę pobawić się z Fanny, pocałować ją na do widzenia i obiecać, że wkrótce ją odwiedzi.

Steph poczuła się rozdarta. Z jednej strony, pomyślała, Fanny skorzysta z obecności Harry'ego. Niezależnie od jego stosunków z Quayle'ami, dziewczynce przyda się dobry męski wpływ. Ale czy ufając mu, tak jak kiedyś Quayle'om, nie ryzykuje znów utraty dziecka?

- To absurd - kolejny raz mruknął Harry. Pracowali już od paru dni i zachowanie Steph, która wcieliła się w jego recepcjonistkę, coraz bardziej działało mu na nerwy.

- Żeby wykwalifikowany lekarz zamawiał sprzęt biurowy!

- Przyzwyczajasz się! - odburknęła Steph. - Nie zominaj również, że płacisz mi jak lekarzowi, nie jak recepcjonistce.

- Chyba sobie zdajesz sprawę, że mnie na to nie stać - zachnął się. - Wiesz przecież, jakie są koszty uruchomienia praktyki.

- Więc pożycz więcej pieniędzy - odparła, zdecydowana zmusić go do płacenia jej za to, że maczał palce w utracie jej poprzedniej pracy. Po czym nieco złagodniała.

- To nie będzie trwać wiecznie. Skontaktowałam się z agencją i powiedziałam, czego szukam. Niewykluczone, że pozbędziesz się mnie szybciej, niż sądzisz, ale na razie Fanny musi jeść, a ja muszę spłacać kredyt hipoteczny.

Harry znalazł się w trudnym położeniu. Pozbycie się jej uradowałoby go niepomiarowo, tak jak było oczywiste, że jej stała obecność teraz rozpraszała go, a w niedalekiej przyszłości wręcz utrudniałaby mu pracę. Ale gdyby jej nie miał obok siebie, mogłoby być jeszcze gorzej.

Na pewno byłoby gorzej.

Zadzwoił telefon.

- Gabinet doktora Pritcharda - powiedziała Steph, siadając po turecku na podłodze, gdzie pod ścianą z braku mebli postawiła aparat.

Słuchając, lekko pobladła i przekazała Harry'emu słuchawkę.

- Chodzi o dziecko z obrażeniami twarzy. Złamana kość oczodołu po upadku z roweru. Niewykluczone złamanie górnej szczęki.

Dotknęła kości wokół nosa, a także górnych zębów, wyobrażając sobie konsekwencje dla dziecka, gdyby nie zostało zoperowane. Rozmyślała, jaka byłaby jej reakcja,

gdyby to była Fanny, kiedy Harry zadał pytanie, które w pierwszej chwili wydawało się nie mieć sensu.

- Pytasz, czy mogłabym asystować? - upewniła się. - Przecież nie możesz brać każdego, kogo zechcesz, żeby ci asystował podczas operacji w państwowym szpitalu.

- Pacjenta przyjęto do Summerland Private - wyjaśnił Harry. - Pierwszego szpitala zbudowanego przez Boba Quayle'a, blisko plaży. Chyba wiesz, gdzie to jest?

Przytaknęła kiwnięciem głowy, bardziej na propozycję Harry'ego niż na lokalizację szpitala. Propozycja była nie do pogardzenia, choć Stephanie, jako osoba odpowiedzialna, nie mogła nie wypunktować swoich obiekcji.

- Nie miałam do czynienia z chirurgią, odkąd skończyłam pierwszy rok stażu.

- To nic - skomentował beztrosko. - Ale zakładałaś szwy ludziom w przychodni, nie wątpię też, że potrafisz jeszcze zacisnąć naczynie krwionośne. Mówiąc to, wkładał kurtkę.

- Im szybciej tam będziemy, tym łatwiej będzie składać to wszystko z powrotem, zmniejszy się też ryzyko infekcji.

Lekko oszołomiona, ale ogólnie podekscytowana takim obrotem sprawy, Stephanie wyszła za nim, uprzednio zamykając drzwi na klucz.

- A dlaczego akurat zatelefonowali do ciebie? - zapytała, gdy już znaleźli się w samochodzie.

Harry uśmiechnął się.

- Mówisz to, jakbym był twoją ostatnią szansą - żartował. - A tak naprawdę to lekarz, który pierwszy widział chłopca, pracował razem ze mną w Paryżu i wie, że zajmowałem się chirurgią rekonstrukcyjną dzieci. Rozmawiałem z nim przed paroma dniami.

W Paryżu? To dziwne, pomyślała, ale im byli bliżej szpitala, tym czuła się bardziej niespokojnie. Postanowiła się

skupić na chwili obecnej, obiecując sobie, że przy najbliższej okazji dowie się czegoś więcej na temat Paryża.

- Byłaś tu od tamtego czasu? - zapytał, a ona wiedziała, że ma na myśli szpital, w którym się dowiedziała o śmierci Martina.

- Nie!

Zamilkł na chwilę, skupiając się na wjeździe na podziemny parking i zatrzymując w miejscu przeznaczonym dla lekarzy. Ale kiedy wyłączył silnik, dotknął jej ręki i przytrzymał ją.

- Ten szpital nie ma nic wspólnego z tym, co się kiedyś stało, a jeśli jeszcze pomyślisz o nim jako o miejscu, gdzie urodziła się Fanny, może będzie ci łatwiej. Wychyliła się i pocałowała go w policzek.

- Jeszcze nie jesteśmy przyjaciółmi - uprzedziła. - Jesteś zbyt mocno związany z obozem wroga. Ale dziękuję ci za to, co powiedziałaś, Harry.

Kiedy znaleźli się wewnątrz szpitala, nie miała już czasu myśleć o przeszłości. Zaprowadzono ich do małej sali operacyjnej.

Krótkie przywitanie z anestezjologiem i dwiema pielęgniarkami, których imiona natychmiast wyleciały Stephanie z głowy, odbyło się w małej, przylegającej do salki szatni. Wkładając operacyjny strój, zastanawiała się, czy jeszcze cokolwiek pamięta z dziedziny, z którą od dawna nie miała do czynienia.

Chłopczyka, któremu podano mocne środki uspokajające, przywieziono w towarzystwie matki do pokoju przedoperacyjnego. Tutaj przejęły go pielęgniarki, które przysunęły wózek do łóżka operacyjnego, na które go delikatnie przełożyły.

Miał już podłączone do klatki piersiowej przewody monitorujące i przyklejoną z tyłu głowy igłę kroplówki. Nie wyglądał na starszego od Fanny...

Następnie Harry obejrzał prześwietlenia, a Stephanie przestała myśleć o małym człowieczku i skoncentrowała się na niezbędnych czynnościach.

- Natniemy skórę tutaj, wzdłuż linii włosów, i odwinniemy ją. Twoim zadaniem, Steph, jest pilnowanie, żeby pozostała ułowiona. Ponieważ jest młody, a jego kości wciąż rosną, będą się dobrze goić i zrastać, ale musimy mieć pewność, że są poprawnie złożone, uwzględniając położenie naczyń krwionośnych i wiązań nerwowych.

Kiwnęła głową, wiedząc, że nerw zakleszczony między dwoma odłamkami kości może obumrzeć i że to grozi miejscowym paraliżem.

Przez chwilę pracowali w milczeniu. Harry zaczął przywracać delikatne kości chłopca do pierwotnej pozycji. Ale przy górnej szczęce pojawił się problem. Była popękana pod samym nosem chłopca i żeby uratować zęby, trzeba było założyć specjalną płytkę. O ile jednak u dorosłego taki aparat można umocować na stałe, o tyle u dziecka należało go w przyszłości usunąć, by umożliwić dalszy wzrost.

- Gdyby miał stałe zęby, mógłbym je zadrutować, żeby utrzymać kość na miejscu.

Słowa Harry'ego były odbiciem jej własnych obaw. Zrozumiała, że chciałby oszczędzić dziecku kolejnej operacji.

Jedna z pielęgniarek została wysłana po odpowiednio, małe płytki i śrubki. W tym czasie Harry usuwał odłamki kości.

- Jak to się stało? - zapytała Stephanie anestezjologa, który wcześniej oglądał dziecko.

- Jechał na rowerze, uderzył w krawężnik, przeleciał przez kierownicę i uderzył w ceglany mur. Był w hełmie, ale całe uderzenie poszło na twarz.

Zadrżała na myśl, jak łatwo o wypadek, ale kiedy Harry musnął ją ramieniem, to choć dzieliło ich wiele warstw ubrania, znalazła w tym pociechę.

Nie możesz mu ufać, powtarzała sobie, kiedy mu pomagała ustawić płytkę, a potem przygotowywała odwinietą skórę do szycia. Ale kiedy obserwowała, jak zakłada ostatnie klamerki, starając się, żeby to wyszło jak najlepiej, przypomniała sobie, jak kiedyś razem operowali, a także o rodzącym się w niej uczuciu do niego, zanim między nich nie wkroczył Martin.

- Zrobione! - oznajmił Harry, cofając się i ściągając rękawice z wyrazem autentycznego zadowolenia i satysfakcji.

- Od lat nie. widziałem tak doskonałej roboty - powiedział anestezjolog.

- Praktyka czyni mistrza - zażartował Harry.

Ale Stephanie podchwyciła słowo „niestety”, które mruknął pod nosem, i domyśliła się jego posępnego znaczenia. I znów pomyślała o jego pracy nad rekonstrukcją uszkodzeń i ubytków u dzieci. W Paryżu.

- Pójdę zobaczyć się z rodzicami - powiedział do niej. - Przy okazji chciałbym tutaj jeszcze porozmawiać z paroma osobami. Możesz wziąć samochód i wrócić do gabinetu. Zatelefonuję, kiedy skończę, żebyś mogła po mnie przyjechać.

Mówiąc to, rzucił jej klucze, a ona automatycznie je chwyciła, ale ponieważ jedną z osób, z którą chciał porozmawiać, mógł być Bob Quayle, który miał tu swoje biuro, zaprotestowała.

- Nie jestem twoim kierowcą!

Odrzuciła klucze, mając nadzieję, że ich nie złapie, ale się pomyliła.

- Nie? - zdziwił się, unosząc brwi. - Wydawało mi się, że składałaś propozycję robienia wszystkiego, o co cię poproszę, Steph. Wszystkiego!

Kluczyki wylądowały u jej stóp i zanim zdążyła wymyślić odpowiedź, Harry wyszedł z pokoju.

Zapieniła się z wściekłości, ale to niewiele pomogło. Wyzwała go w myślach od najgorszych, z równie marnym efektem.

Rzeczywiście powiedziałaś, że będziesz robić wszystko, dopóki ci płaci jak lekarzowi, przypomniało jej sumienie.

Wszystko?

Tym razem, gdy powtórzyła to z tą samą intonacją, jakiej użył Harry, przeszło ją miłe, jeśli nie rozkoszne mrowienie, coś, czego nie czuła od dawna, z czym, jak sądziła, pożegnała się na dobre.

Do diabła! Tylko tego brakowało! Harry Pritchard jest związany z Quayle'ami. Zaszantażowałaś go, żeby cię zatrudnił na jakiś czas, i możesz - pamiętaj, „możesz”! - dojść z nim do jakiegoś porozumienia po to, żeby Fanny mogła go widywać regularnie. Ale pragnąć go? Nigdy!

Wróciła do pustego gabinetu i wylądowała złość na dostawcach sprzętu biurowego, którzy grubo się pomylili, sądząc, że nabiorą ją na większą kwotę.

- Uważam, że bardziej przydałby ci się menedżer na stażu niż recepcjonistka - powiedziała autorytatywnym tonem do Harry'ego, kiedy posłusznie pojechała po niego do szpitala Summerland Private. - Czy zastanawiałeś się nad założeniem kont bankowych dla pacjentów, którzy będą chcieli płacić z góry? Będziesz potrzebował jeszcze co najmniej jednej osoby upoważnionej do podpisywania czeków za

czynsz, chyba że zamierzasz w razie potrzeby wybiegać z sali operacyjnej i osobiście je podpisywać.

- Nie przesadzasz? - Posłał w jej stronę kpiące spojrzenie. - W końcu stale opłaty, takie jak czynsz, można załatwić przelewem bankowym.

- A jeśli na rachunku bieżącym zabraknie gotówki i trzeba ją będzie przelać z innego konta?

- Załatwię to przez telefon albo przez Internet. Ktoś, kogo w końcu zatrudnię, będzie znał kody dostępu.

Stephanie, która obecnie nie miała dość pieniędzy, by zaprzętać sobie głowę kontem internetowym czy kodami dostępu, zastanawiała się przez chwilę.

- Zdaje się, że na wyrost pokładasz ogromne zaufanie w tej osobie - zauważyła. - Czy są jakieś sposoby zabezpieczające przed ewentualnym kantem?

Harry roześmiał się.

- Wątpię, żebym przez pierwsze lata musiał się o to martwić - odparł. - Zanim spłacę pożyczki i kredyty, moja recepcjonistka będzie, jak sądzę, zarabiać więcej ode mnie.

- Ale chirurgia kosmetyczna jest cholernie dochodowa i wcale nie czasochłonna. Możesz zrobić pół tuzina operacji w godzinę i...

Urwała, głównie dlatego, że Harry zatrzymał samochód. Wjechał na krawężnik, zwrócił się w jej stronę, po czym położył ręce na jej ramionach i odwrócił ją tak, żeby na niego patrzyła.

- Steph, czy naprawdę tak mało mnie znasz, aby sądzić, że interesują mnie wyłącznie pieniądze? Myślisz, że nic innego nie będę robić, tylko wstrzykiwać wypełniacze w obwisłe twarze albo truciznę w mięśnie?

Zawstydziła się w głębi duszy, ale wołała przyjąć pozycję obronną.

- Kiedyś uważałam, że cię znam, Harry - przypomniała mu - i może, gdybyś się zjawił w innych okolicznościach, moglibyśmy przejść do porządku dziennego nad tym, co stało się w przeszłości. Ale od momentu, kiedy urodziłam Fanny, Bob Quayle usiłuje decydować o jej życiu, więc sam rozumiesz, że muszę być z tobą ostrożna.

- Och, Steph - rzekł delikatnie, przechylił się i pocałował ją równie delikatnie w usta.

Wiedziała, że to nie oznacza nic więcej niż poprzedni pocałunek. Tamten był pocałunkiem pocieszenia, ten zaś bardziej gestem desperacji niż miłości. Ale jej ciało nie zdało sobie z tego sprawy i podniecenie - to dawno zapomniane odczucie - ogarnęło ją, zapierając dech w piersi.

Czuła, jak jej wargi reagują, rozchylają się, żeby zaprosić go do środka, podzielić się słodyczą pocałunku, i przez chwilę to robił, wnikając w jej usta z nieśmiałą delikatnością, która sugerowała powstrzymaną namiętność. Po chwili odsunął się, pozostawiając chłód w miejscu, gdzie były jego wargi - i jeszcze większy chłód w sercu.

Odwrócił głowę i spoglądał przez okno, by po chwili uderzyć ręką w kierownicę. Skąd raptem ten pocałunek? Chciał zaprotestować przeciwko jej oczywistej nieufności wobec Boba Quayle'a, a jednocześnie zapewnić ją, że Bob na pewno nie zrobi niczego złego jej albo Fanny. A przecież, co prawda bezwiednie, zamykając przychodnię, już to zrobił.

Ciągle jednak nie mógł uwierzyć, że zamiarem Boba było pozbawienie Steph pracy.

- Co chcesz, żebym zrobił? - zapytał, wiedząc, że Steph zrozumie, o co mu chodzi.

Znajdź sobie gdzie indziej miejsce na gabinet. Potrząśnął głową.

- Nie mogę, Steph. Mam powód, dla którego chcę zacząć pracę w nowym szpitalu.

- Czyżby Bob przekupił cię niskim czynszem? Obiecał ci pozycję gwiazdy w swojej kolekcji najlepszych specjalistów?

Była zła, i tak naprawdę nie miał jej tego za złe, ale do czasu zakończenia wszystkich przygotowań wołał nie mówić o umowie, jaką zawarł z Bobem. Zwłaszcza Steph. Przecież go znała i powinna wiedzieć, że nie pociągają go ani sława, ani fortuna, ani pozycja gwiazdy.

Choć darmowe mieszkanie rzeczywiście go poratowało...

Uruchomił samochód i pojechał do nowego budynku, parkując na jednym z miejsc zarezerwowanych dla jego gabinetu. Ciągłe czuł dotyk jej warg - delikatny choć namiętny - a dotyk jej kości pod skórą, gdy trzymał jej ramiona, odcisnął się na jego dłoniach.

- Wcześniej, w drodze ze szpitala, wstąpiłam do domu i wzięłam stolik, a także parę składanych krzesełek - oznajmiła, otwierając drzwi samochodu. - Położyłam na nim parę zestawień, porównań kosztów wynajmu i zakupu mebli i wyposażenia. Jeśli mi powiesz, jakie chcesz otworzyć konta i jaki wybrałeś bank, mogę w drodze po Fanny wziąć formularze do wypełnienia. Z powrotem zanieziesz je sam, bo żeby otworzyć konto, będziesz musiał wylegitymować się masą dokumentów.

Wysiadła, pozostawiając go lekko oszołomionego. Nie mógł uwierzyć, że może się zachowywać tak... tak zwyczajnie. Tak jakby pocałunek nigdy nie miał miejsca.

Jakby rzeczywiście była prawdziwą recepcjonistką, zarządzającą jego gabinetem.

A robiła to skutecznie i wprawnie.

Wchodząc za nią, zdał sobie sprawę, że sama otworzyła drzwi gabinetu. A przecież klucz do niego był przyczepiony

do kluczyków samochodowych, których używała wcześniej, ale które mu zwróciła. Jakby odgadując jego myśli, podniosła do góry nieduży pęk kluczy.

- Frontowe drzwi, szafka z lekarstwami i toaleta dla personelu - powiedziała, podrzucając je do góry i łapiąc w powietrzu. - Odszukałam administratora szpitala i dostałam je od niego.

Uśmiechnęła się, a w jej oczach pojawiły się złośliwe błyski.

- I zgadnij, kogo tam zastałam?

Zaskoczony wyraz twarzy Harry'ego wystarczył jej za odpowiedź, gdyż uśmiechnęła się i niemal triumfalnie po kiwała głową.

- Tak, samego Boba Quayle'a! Ale nie przyniosłam ci wstydu, tylko ukloniłam się z szacunkiem, poprosiłam o klucze, jeszcze raz się skłoniłam i wyszłam.

Odwróciła się i zaczęła zbierać ze stolika coś, co wyglądało na broszury.

- Sprzątnę to później. Gdybyś zechciał zerknąć na liczby i na sprzęt, który oferują firmy, mogłabym to jutro zamówić i załatwić przywóz nawet na poniedziałek.

Czmychnęła, prawdopodobnie żeby odebrać Fanny, po czym prawie natychmiast wróciła.

Nie powiedziałaś, jaki to bank.

Gdy wymienił nazwę, gdzie miał swoje konto, Stephanie się skrzywiła.

- Coś ci się jeszcze nie podoba? - zapytał, doprowadzony do szału jej nonszalanckim zachowaniem.

- W końcu guzik mnie to obchodzi, ale jest powszechnie wiadomo, że prowizje i opłaty pobierane przez ten bank są znacznie wyższe niż w innych. Z drugiej strony może oferują wyższy debet. Jeśli chcesz, zasięgnę u nich informacji na temat konta firmowego i zorientuję się, jak to wygląda w

innych bankach. Żebyś mógł podjąć najlepszą decyzję - rzuciła w biegu, zamykając za sobą drzwi.

Jechała ostrożnie, zadowolona, że tak dobrze ukryła swoją reakcję na pocałunek Harry'ego, jednocześnie świadoma faktu, że zbyt wiele spraw ją rozprasza i że musi się bardziej skoncentrować.

Queen Street była główną handlową ulicą w Summerland i wszystkie najważniejsze banki miały tu swoje oddziały. Wyskoczyła na chwilę po broszury i formularze, a następnie pojechała po Fanny, która zajęta była zabawą i nie miała zamiaru wracać.

- Gdybym musiała ją tutaj zostawić z powodu pracy, natychmiast zaczęłaby narzekać - powiedziała Steph do Patsy, opiekunki grupy.

- Czy kobiety nie są pełne sprzeczności? - zaśmiała się Patsy. - A Fanny to prawdziwa kobietka!

Cały Martin, pomyślała Steph. Zdolny nie tylko czarami ściągnąć ptaki z drzew, ale i zaczarować same drzewa, byle tylko dopiąć swego - czy jak w przypadku Fanny, jeszcze coś wytargować.

- Jedziesz dzisiaj do wujka Harry'ego? - zapytała mała, kiedy wreszcie zgodziła się wyjść.

Poprzednie dwa popołudnia Fanny spędziła z Tracy.

- Pojedziemy do jego pracy, ale jeszcze niewiele tam jest. Wzięłam ci trochę zabawek i kredek, żebyś miała co robić.

- A wujek Harry tam będzie?

- Chyba tak - odparła, chociaż wolałaby go nie zastać. Ale kto powiedział, że życie ma być lekkie?

Nie tylko Harry był w gabinecie, ale, ku podwójnemu zachwytowi Fanny, był tam też jej dziadek.

Radośnie przywitała obu mężczyzn, szczebiocząc na temat przedszkola, podczas gdy Stephanie, wyczuwając na-

pięcie między mężczyznami, zastanawiała się, w czym przeszkodziła. Po chwili wzięła Fanny za rączkę i zaprowadziła do małego pokoju, który po umeblowaniu miał służyć za pokój wypoczynkowy.

- Pozwólmy dziadkowi porozmawiać z Harrym. Pomaluj sobie, dopóki nie skończę pracy. Będziemy musiały obie usiąść na podłodze.

Gdzieś koło piątej, gdy Stephanie szykowała się do wyjścia, pakując kredki Fanny i omawiając z nią dzisiejszą kolację, wszedł Harry.

- Mam nadzieję, że zatrzymałaś Tracy - powiedział - i że możesz zostawić wieczorem Fanny pod jej opieką. Co powiesz, jeśli przyjadę o ósmej i zabiorę cię na kolację?

Musiał zobaczyć, jak jej usta odruchowo układają się w „nie”, ponieważ nie dał jej dojść do głosu.

- Weźmiesz sobie za to wolne - kusił. - Jutro po przedszkolu pojedziecie z Fanny prosto do domu. Właściwie mogłabyś tak robić zawsze, załatwiając telefony i różne sprawy u siebie. Zachowaj tylko rachunki telefoniczne. Przydałby się nam niewielki fundusz w gotówce, prawda?

Fanny, która przysłuchiwała się rozmowie, wzięła matkę za rękę i zapytała:

- Włożysz sukienkę?

Po czym zwróciła się do Harry'ego.

- Mama ma dużo sukienek, ale nigdy ich nie nosi - wyznała. - Chociaż bardzo bym chciała, bo wygląda w nich ślicznie.

- Nie wątpię - z powagą odparł Harry. - To może przypilnujesz, żeby tym razem włożyła?

Stephanie zapieniała się ze złości.

- Nie widzę powodu, dla którego mój szef miałby dyktować, co mam na siebie włożyć - warknęła.

- Nie? - Uniósł brwi. - Uważam, że moja pozycja upoważnia mnie do tego, i o ile teraz nie mam nic przeciwko podkoszulkowi i dżinsom, o tyle później, gdy zaczniemy pracę, wolałbym jakiś kostiumik. Nie wątpię, że o to zadbasz.

Gotując się w sobie, jeszcze próbowała protestować.

- Ale na pewno nie dzisiaj.

- Więc włóż suknię - odezwał się tonem, w którym zabrzmiał rozkaz, by zaraz dodać: - Proszę cię, Steph.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Włożyć sukienkę?

Jeszcze raz stanęła przed szafą. Miała dużo sukien, głównie z okresu, gdy była żoną Martina. Uwielbiał zabierać ją do najlepszych butików i wydawać krocie na jej ubrania. Żeby pasowała do obrazu żony Martina Quayle'a!

I być może, żeby uspokoić własne sumienie, chociaż wówczas jeszcze o tym nie wiedziała.

Przeglądała je z niesmakiem, aż dotarła do jedwabnej kremowej bluzki, którą zawsze lubiła, a którą Martin określił jako staroświecką. Gdzieś obok powinny wisieć odpowiednie czarne dżinsy - wprawdzie z dobrego domu mody, ale przynajmniej wygodne. Wisiały parę wieszaków dalej, ukryte pod żakietem. Niestety, gdy rozkładała strój na łóżku, do sypialni weszła Fanny.

- Wujek Harry powiedział, że ma być sukienka! -ostro zaprotestowała.

- Wiem, kochanie, ale to są dobre wyjściowe dżinsy.

- Nie! Ma być sukienka. Zaraz ci coś wyszukam. Najwyraźniej mała odziedziczyła ten upór po mnie, nie po Martinie, pomyślała Stephanie.

Jak było do przewidzenia, Fanny wybrała jaskrawą szmaragdową suknię balową, której Stephanie wręcz nie znosiła.

- To nie jest odpowiednia suknia na zwykłą kolację - powiedziała. - Naprawdę, dzinsy będą w sam raz.

Jednak Fanny szukała dalej. Wreszcie wyjęła dopasowaną dżersejową czarną sukienkę, jeszcze sprzed ślubu z Martinem, która choć stara, była tak prosta, że wręcz ponadczasowa. Stephanie domyśliła się, że uwagę córki przyciągnął paseczek z dżetów i brylancików, zdobiący głęboki dekolot w kształcie litery V.

- Dobrze - powiedziała do córki. - Ale teraz musisz zajrzeć na spód szafy i znaleźć mi odpowiednie czarne pantofle, a później w dolnej szufladzie komody poszukać czarnych rajstop albo pończoch.

Fanny była zachwycona. Wczołgała się do szafy, bawiąc się tam przez chwilę, zanim wyciągnęła buty, następnie podeszła do komody, skąd wyjęła pończochy i kilka par pasków z podwiązkami, o których Stephanie dawno zapomniała.

Ubieranie się przy wydatnej pomocy Fanny zajęło więcej czasu, niż gdyby robiła to sama, ale w końcu udało się i mogła przejrzeć się w lustrze. Zobaczyła w nim mało znaną postać w trochę za luźnej sukni, bardziej sugerującej figurę niż uwydatniającej kształty.

Jeszcze makijaż. Kiedy, poza szczytą błyszczycyku na usta, coś takiego ją interesowało?

Teraz jej odbicie w lustrze wprawilo ją w zdenerwowanie i niepewność, ale ponieważ Harry już przyszedł - a Fanny pobiegła go przywitać - nie mogła zbyt długo marudzić.

Harry, pełzając na kolanach z Fanny na plecach, podniósł głowę i dostrzegł najpierw zgrabne nogi w czarnych pończochach, następnie kawałek czarnej sukni, na której tle blada cera Steph wydawała się jeszcze bledsza, a rude włosy jeszcze bardziej rude.

- Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek.

Nie zamierzał tego powiedzieć - w końcu to miała być służbowa kolacja - ale słowa wyrwały się same.

- Nie bardzo wiem, co sądzić o komplementach od konia - powiedziała z lekkim uśmiechem na jaskrawo połyskujących wargach.

Dopiero teraz Harry zauważył, że klęczy, chociaż jego jeździec go opuścił i okrążał matkę wkoło, kiwając z aprobatą głową. Jeszcze przez chwilę wodził wzrokiem po nogach Steph, aż wreszcie wziął się w garść.

- No, no, ale suknia! - powiedział, ponownie zapominając, że wybierają się na służbową kolację. - Możemy iść?

- Dokąd jedziemy?

- Poradziłem się kierownika Dolphin Towers. Polecił „Farsę”, mówiąc, że jest to dość nowa restauracja, gdzie wbrew nazwie podają dobre jedzenie.

- Dobrze, chodźmy - mruknęła po zastanowieniu, chwytając maleńką torebkę, która od biedy mogła pomieścić chusteczkę i klucze.

W drodze, wbrew jej intencjom, rozmowa zeszła na bardzo osobisty temat.

- Pamiętam, że kiedyś chciałaś zostać chirurgiem. Dlaczego zrezygnowałaś? Przecież to była twoja pasja. Rozumiem, że trudno robić specjalizację, mając małe dziecko, ale...

- Nie musiałam akurat wtedy zajść w ciążę, czy tak? - dokończyła za niego. - Nie, nie musiałam.

Usłyszał w jej głosie żal, choć przecież wiedział, jak bardzo Steph kocha Fanny. Skoro nie chciała zajść w ciążę, co zatem się stało?

- Nie brałaś pigułek? - zapytał.

- Odstawiłam na trzy miesiące, zgodnie z zaleceniem lekarza.

Czyli że za poczęcie odpowiadał Martin, pomyślał Harry, ale nie powiedział tego, tylko sięgnął po jej rękę. Miała zimne palce, choć wieczór był raczej ciepły.

Cofnęła ją, ale myśli Harry'ego zaprzętał teraz człowiek, który był jego najlepszym przyjacielem. Czy dowiedzenie się o niewierności Martina tak mocno zraniło Steph, że pozostała w niej po nim tylko gorycz? To by tłumaczyło jej niechęć do Quayle'ów.

Czy więc miała rację? To prawda, że Martin był zepsuty i zwykł chodzić własnymi drogami. Ale czy miał na tyle pokretny charakter, by poślubić Steph tylko dlatego, że Harry zakochał się w niej? Na tyle przebiegły, żeby wykorzystać ciążę Steph, by przeszkodzić jej w robieniu specjalizacji? To wszystko działo się tak szybko - zaloty, małżeństwo, ciąża i niewiele ponad rok później śmierć Martina.

Im głębiej w to wnikał, tym więcej myślał o Bobie, o swojej obecnej roli i o być może uzasadnionym żalu Steph. Zwłaszcza do niego.

- Czy to nie tutaj?

Uwaga Steph sprowadziła go na ziemię. Zwolnił, zawrócił i zaparkował blisko wejścia.

- Dzięki - powiedział, wysiadając i przechodząc na drugą stronę, żeby otworzyć jej drzwi.

- Dziękuję - odrzekła, a kiedy pocałowała go w policzek, wiedział, że to coś więcej niż uprzejmość za otwarcie drzwi.

Czyżby czytała w jego myślach? Czy też dawna więź i zażyłość, jakie ich łączyły, pozostały na tyle silne, że mogli rozpoznawać wzajemne zmiany nastrojów i emocji? Miał nadzieję, że nie, ponieważ jego doznania były, można rzec, niecenzuralne.

Wchodząc do restauracji, wziął ją pod rękę, zadowolony, że mu na to pozwala, zły, że podświadomie zakłada, iż nic od niej więcej nie dostanie.

Stoliki w „Farsie” ustawione były w pewnej odległości od siebie, a wysepki zielonych doniczkowych roślin między nimi zapewniały intymny nastrój.

- Jak tu ślicznie! - rzekła Steph ze szczerym zachwytem, poruszając do głębi zakochane serce Harry'ego.

Po czym bystro na niego spojrzała i dodała:

- Nie przyniosłeś dokumentów, nad którymi mieliśmy popracować.

Natychmiast osadziła go w miejscu. I jeśli nawet na chwilę zawiesiła wypowiedzianą wojnę, to teraz przypominała mu, że ich spotkanie ma czysto służbowy charakter. Trudno będzie o prawdziwy rozejm i powrót do przyjacielskich stosunków.

Nie mówiąc o czymś więcej.

Stephanie usiadła przy zarezerwowanym dla nich stoliku i obserwowała Harry'ego, który poszedł do samochodu po papiery.

Wyglądał fantastycznie w garniturze i w brązowym golfie pod marynarką, współgrającymi z jego oliwkową cerą i jedwabistymi ciemnymi włosami. Podniecał ją i intrygował, bo choć nadal był tym samym Harrym, któremu kiedyś ufała, to jednak pozostawał dla niej również zagadką.

Kiedy wrócił, trzymając w ręku różowe plastikowe foldery, zastał ją pogrążoną w myślach.

- Zamówmy coś, a potem przejdźmy do interesów - zaproponował, podając jej kartę.

- Stanowczo za duży wybór - stwierdziła zrezygnowana, po pobieżnym przestudiowaniu menu. - Co ty wybierasz?

Po rozważeniu różnych wariantów - ryba czy ptactwo, mięso czy potrawy wegetariańskie - zdecydowali się w końcu na jeden wspólny półmisek owoców morza.

- Jaką pracę chciałbyś przede wszystkim wykonywać? Co robiłeś w Paryżu? Czy tam jest więcej dzieci z uszkodzeniami twarzy niż gdziekolwiek indziej na świecie?

Wahał się chwilę, po czym, wiedząc, że Steph będzie nalegać, dopóki nie uzyska satysfakcjonującej odpowiedzi, odparł:

- Nam, społeczeństwu, przez cały czas pokazują w telewizji dzieci, i dorosłych oczywiście, które straciły kończyny w wyniku wybuchu miny. Nazywają je minami przeciwpiechotnymi. I wielu wytwórców protez poświęca czas i uwagę takim ludziom. Ale znaczna część tych okaleczonych ma również obrażenia i deformacje twarzy od odłamków pocisków, które rozrywają nie tylko ciało, ale i kość.

Słuchała go z szeroko otwartymi oczami.

- W Paryżu jest klinika, która sprowadza dzieci z te

renów, gdzie toczą się wojny. Tamtejsi specjaliści pobierają kość z innej części ciała dziecka, zwykle z kości biodrowej, nadają jej odpowiedni kształt, następnie robią przeszczep i, oczywiście w miarę możliwości, przywracają twarzy dawny wygląd.

- Bo dzieci lepiej sobie radzą z protezą ręki czy nogi, gdy tymczasem życie ze zniekształconą twarzą może działać destrukcyjnie na ich poczucie wartości.

- No właśnie - przytaknął Harry, delektując się ciepłym dłoni, którą położyła na jego ręce, gdy mówił o dzieciach.

Interesy zeszyły na daleki plan - a także wszelka nadzieja na romantyczny wieczór - gdy Steph zarzuciła go dalszymi pytaniami o pracę, jaką wykonywał. Po sposobie, w jaki się zapaliła, zorientował się, że od dawna nie miała okazji rozmawiać na tematy zawodowe. Więc zaspokajał jej głód informacji, a potem karmił ją, dosłownie, obierając krewetki i podtykając je do jej ust.

- Nie! Jedz sam - wreszcie zaprotestowała. - Mam zamiar dobrać się do kraba.

Uśmiechnęła się do niego przez stół - szczerym, płynącym z serca uśmiechem.

- Moje pytania muszą brzmieć bardzo naiwnie - zauważyła z odrobiną goryczy - ale tak dawno nie rozmawiałam z nikim o medycynie. A słuchając o tym, co robiłeś... - Wzruszyła ramionami. - Skłamałabym, mówiąc, że ci nie zazdroszczę.

A jemu, który zawsze uważał, że Steph mogłaby robić to wszystko, serce ścisnęło się z żalu.

- Ale masz Fanny - przypomniał jej i został za to wynagrodzony ciepłym uśmiechem.

- Tak, mam Fanny - odrzekła z czułością.

Gdy skończyli jeść, przeszli do spraw służbowych. Oboje zamówili kawę, a Harry namówił Steph, by wzięła do niej porcję tortu czekoladowo-orzechowego.

- Powiedz mi na początek, w jaki sposób chcesz dać się poznać i stać się znanym? - zapytała go, zlizując z warg pyszny krem.

Uśmiechnął się do niej, a ona poczuła, jak fala gorącej krwi zabarwia jej policzki. Wyciągnął rękę i unieruchomił palce, którymi nerwowo fłamsiła serwetkę.

Jego ciepły dotyk tak na nią podziałał, iż poczuła potrzebę odwrócenia dłoni, uchwycenia jego palców, przyciągnięcia go przez stolik i pocałowania go... Uczucie było tak nieoczekiwane, że zaparło jej dech - zaparło tak bardzo, jakby naprawdę go pocałowała.

Musi stąd wyjść, wyrwać się od Harry'ego, zanim nie wpadnie na jeszcze dziwniejszy pomysł.

- Muszę wracać do domu - powiedziała, wycofując rękę, by nie ulec pokusie, i odsuwając się z krzesłem do tyłu.

- Tak! - Harry wstał, obszedł stolik, żeby potrzywać jej krzesło, po czym wsunął je pod stół.

Rozczarowana, że nawet nie zaproponował, poszła razem z nim w stronę drzwi, a następnie - kiedy Harry przystanął, żeby zapłacić rachunek - wysunęła się przed niego, zatrzymując się na dróżce, gdzie słodki zapach jakiejś ukrytej w głębi rośliny przyciągnął jej uwagę.

Idąc za zapachem, zeszyła ze ścieżki, szukając wśród gęstej zieleni białych kwiatków jaśminu - bowiem tylko one mogły mieć tak subtelną woń.

- Bawisz się ze mną w chowanego?

Głos Harry'ego tylko trochę naruszył wieczorną ciszę, ale chropawe tony jego szeptu wprawiły w niepokój jej serce.

- Szukam jaśminu. Chciałam trochę uszczknąć. Rośnie z sadzonki, i gdybym posadziła go pod werandą, mogłabym co wieczór wdychać ten boski zapach.

- A jednak pozostałaś dziewczyną, która uwielbia proste przyjemności - rzekł półgłosem Harry, podchodząc bliżej i obejmując ją lekko ramieniem.

- Też mi dziewczyna - wydusiła z siebie, gdy przez bliskość Harry'ego znów straciła oddech.

- Nie, masz rację - odparł, patrząc na jej twarz. - Jesteś kobietą, samą kobiecością. I to jaką, Steph.

Pocałował ją, i tym razem nie musiała go kusić ani nawet zastanawiać się, co czuje, ponieważ ten pocałunek był pełen żaru i namiętności, i przepenił ją takim pożądaniem, jakiego nie znała. Jęknęła cichutko z rozkoszy, a także z żalu, że nie może mocniej przyłgnąć do niego, poczuć jego skóry na swojej, zaznać najwyższego spełnienia.

O czym już prawie zapomniała...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Pojedziesz ze mną do domu?

Prośba, wyszeptana tak cicho, że mógłby to być szelest wywołany przez nocny wiatr wśród drzew, pobrzmiwająca tak zmysłowo, że rozpałała żądzę, uświadomiła Steph, że to coś więcej niż przemijająca bryza.

To było tak dawno...

I co by w tym było złego?

To jest przecież Harry, którego zawsze kochała.

Nie mógł nie wyczuć, że topnieje, słabnie, gdy obejmując ją i przyciskając mocno do siebie, prowadził ją z powrotem do samochodu. Trwała w zachwycie i podnieceniu po pocałunku. Siedziała w milczeniu, ściskając rękę Harry'ego, gdy jechał w stronę centrum turystycznego.

Wciąż kurczowo trzymając go za rękę, jakby to była jedyna rzecz łącząca ją z rzeczywistym światem, stała obok niego w windzie, która ich wiozła na jego piętro, a potem weszła tuż koło niego do mieszkania.

Musiał jeszcze nie znać rozmieszczenia kontaktów, ponieważ odsunął się od niej, macając ścianę, a jedynym światłem w pokoju było czerwone mruganie czujnika sekretarki telefonu.

W stanie, w jakim była - dalekim od normalnego - Steph automatycznie, jak zawsze w domu, poszła w tamtą stronę. Kiedy zapaliło się światło, nacisnęła przycisk, żeby odsłu-

chać, i już po chwili zrozumiała, co zrobiła. To nie był jej aparat. Przeżrana, odwróciła się do Harry'ego.

- Przepraszam, to ze zdenerwowania - jąkała się, ale jej przeprosiny zagłuszył grzmiący głos Boba Quay le'a, niosący się echem po pokoju.

- Rozmawiałeś już z nią? - pytał. - Pamiętaj, że to część naszej umowy. Zadzwoń, kiedy wrócisz.

Rozkazujący ton i pobrzmiwające jak echo wcześniejsze słowa Harry'ego - „Naprawdę mam inne źródło dochodu” - terkotało w głowie Steph.

Wpatrywała się w Harry'ego, nie mogąc uwierzyć, że zdradził ją w taki sposób. Ale przecież gdy Martin ją zdradzał, Harry na to nie reagował!

- Domyślam się, że to ja jestem tą „nią”, o której mówił - powiedziała, pragnąc, by lodowate szpile w jej głosie poszarpały mu skórę do krwi.

- Tak, ale nie jest tak, jak myślisz. Steph? Podszedł do niej z wyciągniętymi rękami, jakby chciał ją złapać i zatrzymać. Cofnęła się.

- Ty nawet nie wiesz, co myślę, Harry. I może to dobrze dla ciebie - rzuciła, unikając jego rąk i ruszając w stronę drzwi.

Wybiegła z mieszkania, wpadła do windy, która nadal stała na dwunastym piętrze, i nacisnęła guzik. Jak było do przewidzenia, złapał ją, gdy wypatrywała taksówki.

- Przynajmniej pozwól się odwieźć do domu - powiedział, stając przy niej na chodniku. - Zachowałeś się niemądrze.

- Nie. Byłam niemądra, sądząc, że Martin mnie kocha. - Wszystko w niej zawrzało. - Byłam też niemądra, kiedy myślałam, że ty i ja możemy nadal być przyjaciółmi. Może nawet bardziej niż przyjaciółmi. Niemądra, bo sądziłam, że mogę ci zaufać. Zaufać jakiemukolwiek mężczyźnie! Ale

teraz jestem rozsądna. Wracam do domu taksówką, sama! A jeśli myślisz, że zniechęcisz mnie do pracy u siebie, grubo się mylisz. Stawię się jutro o dziewiątej, a także pojutrze i popojutrze. A wiedząc, że masz inne źródło dochodu - do-dała szyderczo - nawet nie będę próbować szukać innej pracy.

Oczywiście, że będzie szukać innego zajęcia, gdyż praca z Harrym, zwłaszcza teraz, byłaby dla niej prawdziwą torturą. O czym on nie musi wiedzieć.

Niech się podenerwuje!

- Dziękuję za niezapomniany wieczór - warknęła, wsia-dając do taksówki, którą dla niej zatrzymał.

Powiedzenie, że atmosfera między nimi jest napięta, by-łoby eufemizmem. Na szczęście Harry większą część czasu spędzał poza gabinetem. Nawet nie próbowała dochodzić, dokąd wychodzi, wystarczyło, że załatwiła mu pagera, by w razie potrzeby móc się z nim skontaktować.

Dostarczono komputer i oprzyrządowanie, które za-mówiła. Z braku mebli postawiła go na stoliku i przy-gotowała projekt listu do lekarzy pierwszego kontaktu, po-zostawiając Harry'emu puste miejsca do uzupełnienia.

Zostawił dopracowany list na stoliku, wracając wkrótce potem, gdy pojechała do domu, i taki układ stał się normą w ich współpracy - ona zostawiała mu materiały do przejrzenia lub do podpisu, on zaś je zwracał, kiedy jej nie było.

Dzwonili przedstawiciele różnych firm medycznych, przychodzili i zostawiali błyszczące broszury reklamujące lekarstwa i sprzęt, które zachwalali, często z nią flirtując, być może licząc, że wpłynie na szefa.

Akurat!

Ponieważ nie pojawiła się żadna ciekawa oferta pracy, była tu jeszcze dwa tygodnie później. Nadeszły meble i

wyposażenie i Stephanie zaczęła pańskim okiem spoglądać na elegancko urządzony ciąg pomieszczeń. Jednocześnie sporządzała kartotekę pacjentów, dzieląc ją kolorowymi zakładkami i ustawiając na półkach, liniując zeszyty wizyt, zabiegów ambulatoryjnych i terminów operacji.

Opanowała różne funkcje telefonu, załatwiła bezpośredni dostęp do Internetu, wyposażyła komputer w programy informacyjne dla pacjentów.

- Może słyszałeś, kiedy szpital zostanie otwarty?
-zapytała Harry'ego przy jednej z rzadkich okazji, kiedy ich drogi się skrzyżowały. - Mam wielu pacjentów, którzy czekają na wizytę. Mam do nich zadzwonić, podając datę i godzinę, kiedy już będziesz mógł ich przyjąć. Muszę też wiedzieć, jakie operacje będziesz wykonywać w trybie ambulatoryjnym, a jakich pacjentów będziesz musiał hospitalizować. Może mógłbyś mi zrobić listę...

Patrzył na nią oszołomiony. Mówiła tak, jakby miała tu zostać na zawsze, a przecież jej tak bliska obecność, oglądanie jej za każdym razem, gdy wchodził do własnego gabinetu, rozpraszały go ogromnie.

Próbował z nią porozmawiać, ale spotykał się z chłodną pogardą, jakby wymazała z pamięci niedawny namiętny pocałunek i bliskość, jaka ich łączyła.

- Sądząc po liczbie ludzi, którzy już czekają na wyznaczenie spotkania, myślę, że wkrótce będziesz musiał powiększyć personel do dwóch osób, uważam jednak, że pracownik biurowy, ktoś, kto będzie odbierać telefony, zapisywać wizyty i prowadzić kartotekę, przyda się bardziej niż pielęgniarka.

Mówiła dalej, jakby pożądanie drżące w powietrzu i przebiegające między nimi nie istniało.

- Rozmawiałam z kierownikiem administracyjnym szpitala, który powiedział, że zapewnią personel pielęgniarski

zarówno do zabiegów ambulatoryjnych, jak i do operacji. Podobno koszt jest wliczony do twojej głównej umowy.

Mówiąc to, miała taką minę, jakby chodziło o jakieś kręctwo. Ponad tydzień temu próbował wyjaśnić jej sens słów Boba Quayle'a, ale nie chciała go słuchać. A teraz prędzej padnie, niż będzie się przed nią płaszczyl.

A jednak!

- Zatrudnij, kogo potrzebujesz, albo kogo potrzebuje prawdziwa recepcjonistka.

- Jeszcze się nie zdecydowałam - odrzekła, nie patrząc mu w oczy.

Odwróciła się, ponieważ przed Harrym nigdy nie potrafiła niczego ukryć. Ale, do pewnego stopnia, powiedziała prawdę. Nie była pewna swojej przyszłości.

Pewna była tylko jednego - że kocha Harry'ego. Jeszcze nigdy nikogo tak nie pragnęła, a głębia jej tęsknoty była dla niej zupełnie nowym doznaniem.

I dlatego robiła głupstwa - trzymała dłużej w rękach listy, które jej wręczał, dotykała jego podpisu, jakby to w jakiś sposób mogło ją z nim połączyć. Ale wiążąc się z Bobem, Harry ją zdradził, a może nawet uwodził ją na polecenie Boba.

Prawdę mówiąc, sama też go uwodziła...

Inna sprawa, co do której była pewna, to to, że musi się uwolnić. Od Harry'ego. Musi przestać go widywać. Musi się też czymś zająć i na tym skoncentrować, żeby obraz Harry'ego i myśli o nim nie miały do niej dostępu. A jeśli chodzi o zajęcie, miała nadzieję, że coś się wkrótce wyjaśni.

Po tym, jak asystowała Harry'emu przy operacji, uświadomiła sobie, jak bardzo lubi chirurgię, a szukając dobrego uzasadnienia ucieczki z miasta, które stało się za małe dla nich dwojga, napisała do komisji rekrutującej lekarzy na

staż chirurgiczny, zapytując, czy mogłaby zostać wzięta pod uwagę.

- Co zrobiłaś? - ryknął Harry, kiedy mu powiedziała o swojej decyzji.

- Złożyłam podanie o przyjęcie na staż chirurgiczny. Jeśli komisja się zgodzi, zdam egzaminy z medycyny ogólnej i jeśli dobrze wypadnę, dostanę się na specjalizację.

- Ale przecież będziesz musiała wyjechać do Brisbane albo dalej na północ, do innego szpitala klinicznego. Poza tym, przy takim założeniu, będziesz musiała równocześnie pracować i studiować, i to przez długi czas. Co wobec tego stanie się z Fanny?

- Mogę zamieszkać z mamą i Billem, jej nowym mężem. Bill był wdowcem i ma ogromny dom z samodzielnym mieszkankiem, w którym możemy się zatrzymać. A mama zajmie się Fanny, gdy będę pracować.

- A co z domem w Summerland?

- Wynajmę go, żeby spłacić hipotekę. Tracy ma przyjaciół, którzy się do niej wprowadzą.

- Tak strasznie zależy ci na chirurgii, że jesteś gotowa wyrwać Fanny z jej środowiska, zaprzęgnąć się na lata do ciężkiej pracy i prawie nie widywać małej?

Nie. Taka byłaby uczciwa odpowiedź, ale dlaczego miałyby mu o tym mówić?

- Jakoś sobie poradzę - odparła, wyzywająco zadzierając podbródek, gotowa do upadłego uzasadnić swój punkt widzenia.

- Akurat, zaharujesz się na śmierć. Tylko po co? Ta praca oddali cię od Fanny. Będziesz wzywana o każdej porze dnia i nocy. Czy warto dla tego przegapić najważniejsze chwile w jej życiu?

Głos mu złągodniał, jakby wyparowała z niego złość. Postąpił kilka kroków w jej stronę.

- Czy nie znajdzie się nic innego, wymagającego mniejszego wysiłku? Nie zastanawiałaś się nad innymi możliwościami?

Nie wspominał Quayle'ów, ale Steph czuła ich unoszącą się obecność. Czuła też prąd, który wytworzył się, między nimi w restauracyjnym ogródku, a który nadal wibrował i drżał, jak zerwane struny instrumentu.

- To nie twoja sprawa - powiedziała tak zimno, jak tylko potrafiła.

- Nie?

To słowo unosilo się między nimi w powietrzu przez niecałą sekundę, po czym Harry podszedł do niej, chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. A ona wiedziała, że nie tylko ją pocałuje, ale że sama odwzajemni pocałunek.

Pal sześć konsekwencje! Zajmie się tym później.

Jego twarde, gorące i nagłe wargi przejęły inicjatywę, podporządkowując sobie jej usta z taką łatwością, że jej ciało, nagle jakby pozbawione kości, osunęło się i zawisło na nim. Objęła go za szyję, przywarła do niego i odpowiedziała z całym tłumionym uczuciem, które ją dręczyło przez ostatnie tygodnie.

Drażnił językiem jej wargi, szukając dostępu do jej gorących ust. W przyływie niewypowiedzianej rozkoszy spotkała się z nim językiem, a potem pozwoliła mu kontynuować inwazję. Drżąca, przywarła jeszcze mocniej, gdy wprowadził jej nerwy w porywający taniec, najpierw pieszcząc jej usta, potem delikatne, reagujące miejsce za jej lewym uchem, by wreszcie sięgnąć w zagłębienie u podstawy jej szyi.

Jedną rękę wsunął pod jej koszulkę, dosięgnął jej piersi, ujmując po kolei nabrzmiałe wzniesienia, aż zapragnęła zerwać ubranie i poczuć jego palce na skórze. Jego wędru-

jąca ręka znalazła się przy jej talii, odnalazła zapięcie przy pasku i rozsunęła zamek.

- Chcę cię poczuć, muszę cię poczuć, Steph - szeptał jej do ucha. Powstrzymując ustami jej ewentualny sprzeciw, wsunął palce pod gumkę jej fig, a ona zadrżała w oczekiwaniu na dotyk. - Dotknij mnie, Steph!

To był rozkaz, który - wiedziała to - musi wykonać, zanim on zrobi to samo z nią i uwolni narastające w niej napięcie. Obejmując go za szyję jednym ramieniem, sięgnęła między ich mocno przylegające do siebie ciała, odnajdując dowód na to, co on czuje, by drżącymi z niepewności palcami, powoli i ostrożnie przesunąć nimi przez delikatny materiał jego spodni.

Zadzwonił telefon, ale ten dźwięk zamiast ich rozdzielić, przyspieszył tylko i wzmógł ich pragnienie doprowadzenia aktu do końca. Dopiero gdy Steph usłyszała swój, własny głos nagrany na sekretarce, gwałtownie oprzytomniała.

Wyrwała się, przypominając sobie inną automatyczną, sekretarkę i wiadomość, której nigdy nie rozszyfrowała. - O co miałeś mnie zapytać z polecenia Boba?

W nieprzytomnym spojrzeniu ciemnych oczu Harry'ego pojawiła się konsternacja.

- Boba? O co miałem cię zapytać? Nie mam pojęcia. Do licha, Steph, właśnie mamy się kochać, a ty nie wiadomo dlaczego wprowadzasz do rozmowy Boba.

Odsunęła się jeszcze dalej, zapięła guzik w spodniach, podciągnęła zamek.

- Kiedy ostatni raz zaszliśmy tak daleko, albo prawie tak daleko - przypomniała mu - Bob chciał, żebyś mnie coś zapytał.

Harry potrząsnął głową. Nic mu nie przychodziło do głowy.

-Informacja przekazana przez automatyczną sekretarkę -
mozoliła się Steph, ale nadal bezskutecznie. -Och, dajmy
już temu spokój! - krzyknęła, zakręciła się na pięcie i w
bojowym nastroju ruszyła przed siebie.

Zatrzymała się w połowie drogi do drzwi, a w sercu
Harry'ego ponownie rozpałała się nadzieja. Nagle oświad-
czyła:

- Sporządziłam listę pacjentów, którzy proszą o wy-
znaczenie wizyty. Możesz ją przejrzeć i ustalić, kto się na-
daje na zabieg ambulatoryjny, a kto wymaga hospitalizacji?
Trzeba im szybko odpowiedzieć.

- Jak ty, do licha, to robisz? - zapytał wreszcie Harry. -
W jednej chwili jesteś gotowa kochać się ze mną, a już w
następnej jesteś zimna jak gład, a potem mówisz o pacjen-
tach, jakby między nami nic się nie wydarzyło.

- Potrafię się tak zachowywać, bo jestem profesjona-
listką! - warknęła. - Poza tym, między nami nic nie było,
Harry. I nic nie będzie, dopóki pozostaniesz gońcem Boba
Quayle'a, nawet jeśli nie potrafisz zapamiętać jego polece-
nia.

Gdy teraz wspomniała właściciela szpitala, coś się obu-
dziło w ociężałej głowie Harry'ego.

- Aha, już wiem. Prosił mnie tylko, żebym cię zapytał,
czy Fanny nie mogłaby ich na trochę dłużej odwiedzać, a
czasami zostawać na noc. Czy to jest zbyt trudne do przyję-
cia? Czy nie mogłabyś pójść na takie ustępstwo?

Ale zamiast poprawić sytuację, tylko ją pogorszył. Zro-
zumiał to, gdy poczerwieniała, a jej wściekłe spojrzenie
przeszyło go na wylot.

- Ostatnim razem, kiedy pozwoliłam Fanny zostać u Quayle'ów na noc, zabrali ją do Disneylandu!

Gorycz rzuconych przez nią słów była ostrzejsza niż jej wściekłe spojrzenie.

- Disneylandu w Stanach? - zgadywał, gdy tymczasem Steph, szybkimi, rozgniewanymi ruchami zbierała papiery z biurka.

- Wyobraź sobie!

- Ale przecież to niewykonalne podczas jednodniowej wizyty!

- No właśnie! - warknęła, przerzucając torbę przez ramię i ruszając w stronę drzwi.

Harry chciał pójść za nią, ale zadzwonił telefon. Może to i dobrze, bo rzeczywiście musiał pozbierać myśli, żeby nadążyć za oskarżeniami Steph.

Dzwoniąca kobieta, pragnąca zasięgnąć informacji na temat leczenia laserem, skierowała jego myśli ku pytaniom, które zadała mu Steph - dotyczące pacjentów, procedur i terminów.

Ilość spraw i pracy przekraczała jego wyobrażenie o rozpoczęciu praktyki. W rzeczywistości bez Steph nigdy by sobie nie poradził.

Może mógłby ją przekonać, żeby została? Znaleźć tyle pracy, by usprawiedliwić jej zatrudnienie? Nie jako recepcjonistki - już i tak odmówiła przyjęcia pensji lekarza, choć wcześniej na to nalegała. Ale przy dużej liczbie zabiegów będzie potrzebował asystentki, a Steph ma wystarczające chirurgiczne doświadczenie i jest wystarczająco dobra, żeby wykonywać tę pracę.

Potrząsnął głową, dziwiąc się, że tak łatwo zmienił kierunek myślenia, ale kiedy rozważył alternatywę - wyjazd Steph z Summerland i niewidywanie jej - doszedł do wniosku, że pomysł wart jest zastanowienia.

Stephanie odebrała Fanny z przedszkola i razem wróciły do domu. W skrzynce zastała list od komisji, na który czekała. Taktownie i uprzejmie informowali ją, że nie mają miejsc, a lista oczekujących lekarzy jest tak długa, że mogłaby liczyć na przyjęcie na staż nie wcześniej niż za parę lat.

- Cholera! - mruknęła, mnąc papier i ciskając nim o wejściowe drzwi.

- Brzydko mówisz, mamusiu! - zbesztła ją Fanny, a patrząc na córeczkę, Stephanie musiała przyznać rację Harry'emu. Gdyby ją przyjęli, czekałaby ją ciężka praca i masa nauki, a to nie byłoby w porządku wobec Fanny.

- Będę musiała znaleźć pracę! - rzekła.

Nie zdawała sobie sprawy, że wypowiada tę ponurą myśl na głos, dopóki Fanny nie powiedziała:

- Ale przecież masz pracę u wujka Harry'ego. To jest dobra praca, bo nie musisz pracować w nocy i być zmęczona rano, a wujek Harry nas lubi, więc pozwoli ci przychodzić do przedszkola, kiedy będzie się działo coś specjalnego.

Zamilkła i popatrzyła wyczekująco na matkę.

- Wujek Harry też mógłby czasami przyjść. Tak jak wtedy, kiedy mieliśmy dzień ojców. Pamiętasz, że dziadek miał przyjść w tym roku, ale był zajęty?

Stephanie popatrzyła w dół na małą dziewczynkę, która miała oczy swojego ojca, i poczuła znany, prawie bolesny przypływ miłości. Powstrzymała łzy, uklękła i mocno ją objęła.

- Możemy poprosić wujka Harry'ego - obiecała, wiedząc, jak bardzo, mówiąc językiem fachowym, dziecko potrzebuje wzorca ojca i jego autorytetu. - Ale on też może

być zajęty. Nie mógłby zostawić pacjenta na stole operacyjnym i urwać się do twojego przedszkola.

- Myślę, że nie - po namyśle zgodziła się Fanny. -Ale go zapytam.

Okazja nadarzyła się szybciej, niż się spodziewały, gdyż wkrótce po szóstej zjawił się wujek Harry we własnej osobie z dwoma plastikowymi torbami.

- Nie wiem, czy wszystkie jadacie chińszczyznę, ale postanowiłem zaryzykować - oznajmił, stawiając swoje dary na stole, zanim porwał Fanny w ramiona i zakręcił nią wkoło. - Możemy to zjeść, póki jest gorące? A gdzie Tracy?

- Jest w bibliotece. Uczy się z przyjaciółmi - wyjaśniła Stephanie, a wypowiedziane słowa obudziły jej własne wspomnienia.

Podniosła wzrok znad miseczek, do których przekładała jedzenie, i dziwnie popatrzyła na Harry'ego.

- Tak wiele nas łączyło... byliśmy sobie tacy bliscy, nasza trójka - wyszeptwała, a on zobaczył połyskujące w jej oczach łzy.

- Steph...

Nie był pewny, czy to było słowo pociechy czy prośba. Kiedy postąpił w jej stronę, cofnęła się, podnosząc rękę, jakby go chciała powstrzymać.

Napięcie przerwała Fanny, biorąc go za rękę i prowadząc do salonu, gdzie rozłożyła kawałki dużej układanki. Potem, po posiłku, zażądała jego obecności w łazience.

- Chociaż potrafię się sama umyć - zapewniła go.

Opowiadanie bajek do łóżka, nie kończące się pożegnania przed snem, aż wreszcie Harry został sam ze Steph. On był pełen obaw, a ona, sądząc po wyglądzie, czujna i nieufna.

- Nie mam zamiaru rozmawiać o Quayle'ach - zastrzegła, rozsiadając się w dużym fotelu i obejmując się rękami.

- Nie po to tu przyszedłem.

- Nie?

- Nie. Przyszedłem, bo zastanawiałem się nad twoją pracą. Nie nad tym, co teraz robisz, chociaż jesteś w tym wspaniała, ale nad prawdziwą pracą. Przy wielu operacjach nie obejdziesz się bez asystenta. To nie byłoby zajęcie na pełny etat, ale byłoby dobrze płatne, mogłabyś więc, gdyby się udało, asystować także innym chirurgom.

Wpatrywała się w niego przez chwilę, jakby próbując rozszyfrować podtekst jego propozycji, po czym, cedząc słowa, powiedziała:

- Zaproponowano mi niepełny etat w lokalnym ośrodku zdrowia, gdzie prowadzę zajęcia z ciężarnymi kobietami. Jeżeli uda się zgrać ich godziny pracy z harmonogramem twoich operacji, to...

Mówiła ściszym głosem, jak gdyby bała się zapeszyć. Po chwili naszły ją wątpliwości.

- Czy coś się za tym kryje? Czy to pomysł Boba? Kolejna próba przekupienia mnie?

- Steph, to co mówisz, to czysta paranoja! - wybuchnął Harry. - Posłuchaj siebie samej! Najpierw obwiniasz Boba za pozbawienie cię posady, teraz z kolei podejrzewasz, że to on stoi za moją propozycją przyjęcia cię do pracy! Przecież to nie ma najmniejszego sensu. A tak na marginesie, to chyba wiem, dlaczego zamknął tę przychodnię. I wierz mi, że to nie ma nic wspólnego z chęcią odebrania ci źródła utrzymania. Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Przeglądałem dokumenty przychodni, pamiętasz - powiedział, wykorzystując jej milczenie na wyłożenie swojego punktu widzenia. - Bob, będąc właścicielem całego

budynku, jakiś rok temu podniósł przychodni czynsz, a dokładnie podwoił go. Sądzę, że zrobił to w nadziei, że przychodnia zostanie zamknięta. Zastanów się, Steph. Bob buduje szpital w odległości trzech kilometrów od przychodni, planuje też uruchomienie całodobowego oddziału nagłych wypadków.

Słuchając tego, Steph zmarszczyła czoło.

- Rok temu? To znaczy, jeszcze zanim zaczęłam tam pracować? Sądzisz, że nie chce mieć konkurencji?

- Właśnie! Ale przychodnia nie została zamknięta, więc ją wykupił. Przyznaję, że przyjechałem w dogodnym momencie. Byłem kimś z zewnątrz, na kogo można się było powołać.

- Obawiam się, że gdybyś mi tego nie powiedział, w przychodni nikt by nigdy na to nie wpadł - oznajmiła, waząc każde słowo.

- A znając Boba, przyznasz, że utracanie konkurencji pasuje do jego stylu pracy.

Stephanie pokiwała głową.

- To prawda - przyznała. - Ale choć rozwiałeś moje po-
dejrzenia co do przychodni, nadal nie ufam Quayle'om. Nie
było cię tutaj przez lata. Odarli mnie ze złudzeń, i to nieje-
den raz.

Znowu jej oczy się zaszklily, a jego zabolalo serce z mi-
łości do niej.

- Niejeden raz? - powtorzył jak echo. - Czy włączasz
Disneyland do tego katalogu krzywud?

- Disneyland! - parsknela śmiechem. - Przez dlugi czas
nawet nie moglam spokojnie wymowic tego slowa. Ale tak,
to jedna ze spraw, ktora zaciężyla na moich stosunkach z
Quayle'ami.

- Więc mi opowiedz o tym. Wyjaśnij mi. Fanny spęd-
zała u nich noc, a oni zawieźli ją do Disneylandu?

Wypowiedziane na głos słowa nabrały barw.

- A co z paszportem?

- Patrząc na to wstecz, powinnam się śmiać - przyznała.
- Ale wtedy i długo po tym nie było mi do śmiechu, możesz
mi wierzyć.

Tym razem westchnęła, otrząsnęła się i rozsiadła się
wygodniej w fotelu.

- Jak wiesz, przez ostatnie miesiące cięży mieszkaliśmy
z Martinem z Quayle'ami, tutaj, w Summerland. To miał
być tymczasowy układ, dopóki Martin nie skończy pracy w
Brisbane. Później mieliśmy znaleźć jakiś dom dla siebie.

Jej głos pozbawiony był jakichkolwiek emocji, i Harry
domyślił się, że pogodziła się z faktem, iż pozostawienie jej
z rodzicami było na rękę Martinowi w jego podwójnym
życiu.

- Kiedy zginął, nie mogłam tu wrócić, więc pojechałam
do mamy do Brisbane. Raz w miesiącu przyjeżdżałam tu,
żeby Quayle'owie mogli widywać Fanny, jednocześnie uci-
nałam wszelką dyskusję na temat powrotu i zamieszkania z

nimi. - Wzięła głęboki oddech. - Nie mogłam tego zrobić, Harry. Nie mogłam wrócić w to samo miejsce, w którym mieszkałam z Martinem, ani ryzykować, że zepsują Fanny, tak jak zepsuli jego. Kiedy Fanny miała dwa i pół roku, przypuścili nowy szturm. Czy mogłaby zostawać u nich na noc? Moja mama ma ją przez cały czas, dlaczego oni nie mogliby jej widywać trochę częściej? W końcu ustąpiłam i Fanny parę razy u nich została.

Przeciągnęła ręką po twarzy, jakby wspomnienia były pajęczynami, z których nie może się wyplątać.

- Zamartwiałam się, że może zachorować i potrzebować mnie, więc zostawałam na noc w tanim motelu. Po czym, pod koniec pewnego weekendu, kiedy po nią przyjechałam, gospodyni powiedziała, że wyjechali. Wręczyła mi laptopa/i list, w którym mnie informowali, że komputer podłączony jest do Internetu i że muszę się tylko zalogować, a będę od nich codziennie otrzymywać fotografie i wiadomości.

- Z Disneylandu? - z niedowierzaniem spytał Harry.

- Domyśliłam się tego dopiero po obejrzeniu zdjęć, które przesłali.

- A paszport?

- To już moja własna głupota - przyznała Steph. -Jakiś czas wcześniej rozmowa zeszła na temat majątku po Martinie.

Parsknęła cynicznym śmiechem.

- To był żart! Oczywiście Martin niczego nie miał, ale rzekomo zostawił testament przekazujący wszystko, czego nie miał, swojemu nienarodzonemu dziecku. Quayle'owie uznali to za jego ostatnią wolę, więc powiedzieli mi, że będą mnie utrzymywać i dadzą mi pieniądze na bieżące wydatki, ale ich majątek odziedziczy Fanny.

Spojrzała na Harry'ego wzrokiem zranionej osoby.

- To tak, jakby dawali mi do zrozumienia, że wyszłam za mąż za Martina dla jego, a raczej ich pieniędzy, i że teraz nie mogę na nie liczyć! Oczywiście jakoś to przebolełam, ale wówczas było mi bardzo przykro, że nie wspomnę o wściekłości, do jakiej mnie to doprowadzało. I wtedy dali mi całą masę papierów do podpisu. Moja wina. Zrobiłam to, nie czytając ich. Wśród nich było podanie o paszport, które też podpisałam, wyrażając tym samym zgodę na umieszczenie Fanny w paszporcie Doreen.

- I to było dwa lata temu? - upewnił się Harry.

- Mniej więcej. Fanny była wtedy za mała na taką wyprawę, nawet nie zdawała sobie sprawy, gdzie jest, i była w takim wieku, kiedy poprzebierani ludzie, różne cuda i okropności raczej budzą grozę. W każdym razie, kiedy wrócili, zaprzestałam wizyt. W końcu pozwali mnie do sądu, żądając pełnej opieki nad Fanny. I wyobraź sobie, że jednym z przedstawionych przez nich dowodów na niewywiązywanie się przeze mnie z macierzyńskich obowiązków były godziny mojej pracy. Wzięli najlepszego adwokata. Walka była okrutna i zawzięta. W końcu sędzia uznał moje racje, ale Quayle'owie uzyskali zgodę na cotygodniowe wizyty.

W tym czasie mama poznała Billa, Tracy zaczęła tu studiować medycynę i rozglądała się za jakimś lokum, więc kupiłam ten dom i przeniosłam się do Summerland, żeby mogli łatwiej widywać Fanny. Doreen zadrecza mnie i nie przestaje namawiać do zamieszkania razem z nimi, a Bob... No cóż, Bob należy do ludzi, którzy przywykli stawiać na swoim.

Harry pokiwał głową. Wszystko to wydawało się niewiarygodne, poza ostatnim zdaniem dotyczącym Boba.

Teraz z kolei chciał mieć nie tylko możliwość częstszego widywania wnuczki - i to był powód pozostawienia wia-

domości na sekretarce - chciał również, żeby Fanny przecięła wstęgę na uroczystym otwarciu szpitala -Szpitala Pomnika upamiętniającego Martina Quayle'a.

Podrzucił Harry'emu tę bombę późnym popołudniem. Dodając przy tym, oczywiście, żeby to załatwił ze Steph!

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

- No więc co sądzisz o tej pracy? - zapytał Harry, a Stephanie, która jeszcze nie otrząsnęła się z nieszczęść przeszłości, spojrzała na niego ze zmarszczonym czołem.

- O asystowaniu mi podczas operacji - dodał.

- Tak, ale...

- Żadnych ale - powiedział, wstając i podchodząc do niej. - Zastanów się tylko. Na początku pracy nie będzie dużo, będziesz więc stopniowo nabierać wprawy i przypominać sobie to, czego się kiedyś uczyłaś.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Dlaczego to robisz? Wiesz, że nie chcę żadnej jałmużny.

Westchnął i potrząsnął głową.

- Dlaczego tak uważasz? - warknął w odpowiedzi.

- Sądzisz, że to znowu Bob poprosił mnie o to w ramach jakiegoś większego spisku? Steph, rozumiem, że po tym, co przeszłaś, mogłaś do nich stracić zaufanie, ale nie możesz tego ciągnąć w nieskończoność. Proponuję ci pracę, bo wiem, że dasz sobie radę, że cokolwiek robisz, robisz to dobrze.

Zawahał się, jakby chciał coś dodać, ale może tylko jej się zdawało, gdyż już po chwili odwrócił się i zaczął obmacywać kieszenie, najwyraźniej w poszukiwaniu kluczyków.

- Zobaczymy się jutro rano - powiedział. - Nie odprowadzaj mnie. Sam wyjdę. Dobranoc.

Poczucie winy towarzyszyło Harry'emu w drodze do domu. Steph ma rację, nie ufając ludziom, a jemu w szczególności. Nie powiedział jej przecież, że proponuje jej pracę, ponieważ chce, żeby została w Summerland. Blisko niego, by mógł ją widywać, dotykać jej, a może nawet kochać się z nią.

Poza tym nie powiedział jej również o najnowszej sensacji. Wolał, żeby Steph zastanowiła się nad propozycją pracy nie obciążoną problemami związanymi z nazwą szpitala. Kiedy się zgodzi, nazwa szpitala nie będzie miała większego znaczenia...

Leżąc w łóżku, nie mogąc zasnąć, wpatrywał się w sufit i zastanawiał, czy nie popełnia błędu, sądząc optymistycznie, że między nim i Steph wszystko jeszcze może się ułożyć.

Trudno w to uwierzyć, zwłaszcza na obecnym etapie, kiedy stosunki między nimi przebiegały na zasadzie jednego kroku naprzód i dwóch kroków w tył.

A jednak zareagowała na jego pocałunki.

Niewiele brakowało, żeby mu się oddała...

Miał nadzieję, że sprawy wkrótce same się jakoś ułożą.

- Więc kiedy zamierzałeś mi powiedzieć o uroczystym otwarciu? I o uwiecznieniu imienia wiarołomnego Martina Quayle'a? Stephanie, bardziej czerwona ze złości niż jej płomienne włosy, już od progu powitała go tymi słowami.

Harry wyprostował ramiona i, głównie z powodu nieprzespanej nocy, dał upust własnej złości.

- Kiedy na chłodno i w rozsądny sposób rozważysz propozycję pracy. Popatrz na siebie. Gdybym powiedział ci o nazwie szpitala, wściekłabyś się i z mety powiedziałabyś

„nie”. Ale jeśli uważasz, że spiskuję przeciwko tobie, to się mylisz. Sam dowiedziałem się o tym wczoraj wieczorem.

- A Bob poprosił cię, żebyś ze mną o tym porozmawiał!

- Tak. Ponieważ zachowujesz się tak irracjonalnie, wi-
dać uznał, że tylko ja mogę to z tobą załatwić. Choć na-
prawdę jednemu Bogu wiadomo, skąd to jego wyobrażenie.

- Może stąd, że dotychczas wykonywałeś jego polecenia
- warknęła, świadoma swojego wrednego zachowania, ale
tak bardzo wstrząśnięta tym, czego się dowiedziała rano, że
nie panowała nad słowami. - Tak jest, Bob, dla pana
wszystko!

Ostentacyjnie zakręciła się na pięcie, szukając schro-
nienia za recepcyjnym biurkiem, skąd jednak nadal widziała
Harry'ego. Już chciała przejść za półki, kiedy na szczęście
zadzwoił telefon.

- Cześć. Mówi Frank Collins, prezes kompleksowych
usług klubowych w Summerland. Podejrzewam, że nie za-
stałem Harry'ego.

Właśnie zamknęły się za nim wyjściowe drzwi.

- Bardzo mi przykro! Dopiero co wyszedł. Czy może
pan zostawić wiadomość?

- Oczywiście. Proszę mu powiedzieć, że zorganizowa-
liśmy darmowy przelot jego pierwszego pacjenta z wyspy.
Przyleci we wtorek, to znaczy za niecałe dwa tygodnie. Za-
łatwiliśmy mu lokum, ale musimy porozumieć się z Harrym
i omówić z nim najważniejsze szczegóły. Proszę go popro-
sić, żeby zadzwonił, gdy będzie miał wolną chwilę.

Steph zapisała informację, poprosiła o numer telefonu
Franka, odłożyła słuchawkę i zadumała się nad dziwną
rozmową.

Frank wydawał się podniecony, jakby ten pacjent był
kimś wyjątkowym. Z wyspy?

Usłyszała lekki szum drzwi, wstała więc i zaskoczona patrzyła, jak Harry podchodzi do jej biurka.

Był tak blisko, że mogła wyraźnie zobaczyć jego podkrążone oczy, świeżo ogoloną skórę i połyskujące w porannym świetle włosy. A także zatroskanie w oczach i smutny grymas ust.

Chciała go przeprosić, nawet bardzo chciała, ale zdrada Martina zasiała w niej nieufność, którą dodatkowo umocnił fakt, że ojciec Martina w jakiś sposób trzyma Harry'ego w garści.

- Mam dla ciebie wiadomość - wyrzuciła z siebie, by przerwać ciężące milczenie. - Dzwonił Frank Collins. Pierwszy pacjent przybędzie we wtorek, za niecałe dwa tygodnie. Zapisałam ci tutaj wszystkie dane.

Popchnęła mu kartkę przez biurko, a Harry, w miarę jak ją czytał, coraz bardziej posepniał.

- Cholera jasna! Powinienem być zadzwonić do Franka i powiadomić go o zwłoce. Co dzisiaj mamy?

- Czwartek. O co w tym wszystkim chodzi?

- A kiedy jest oficjalne otwarcie? - zapytał, ignorując jej pytanie.

- Jakbyś nie wiedział! - warknęła. - W sobotę za tydzień.

- W sobotę za tydzień - powtórzył i zamyślił się. -Więc moglibyśmy operować w następny wtorek. To jest do wykonania, ale to wymagałoby od nas szalonego pośpiechu i masy organizacyjnej pracy.

Widziała, jak się ożywia. To był znów dawny Harry. Pełen entuzjazmu, podniecony.

- Mówiłaś, że Rebeka przyjęłaby u nas pracę w recepcji. Kiedy ją możesz ściągnąć? Dzisiaj? Postaraj się też załatwić dużą tablicę. Rozpiszemy na niej cały grafik, żebyśmy niczego nie pominęli.

Kiedy to załatwiła, Harry opadł na krzesło przed tablicą i zaczął głośno myśleć:

- Kiedy jest otwarcie?

- W sobotę za tydzień. - Najwyraźniej zapomniał, że już ją o to pytał.

- A więc za dziesięć dni. Dobra. Zapisz to na górze tablicy. Teraz w dolnej kolumnie wymienimy wszystkich, kogo będziemy potrzebowali. Mam już dwóch anesteziologów i dwóch chirurgów, ale muszę jeszcze z nimi ustalić dokładną datę. Dzieciak przyjedzie we wtorek. Natychmiast poddamy go intensywnej antybiotykowej kuracji.

- Zaczekaj! - Steph podniosła rękę. - Jaki dzieciak? Jaka to operacja, że wymaga aż dwóch anesteziologów i trzech chirurgów?

RS

- Czterech. Oczywiście będziesz mi asystować - odparł.
- Powiesz mi chociaż, o co chodzi?
- W Paryżu poznałem chirurga, który przez znaczną część czasu przebywa na wyspach Pacyfiku. Do większych miejscowości przywozi się tam dzieci z najbliższych okolic, a on je operuje. Ale, jak mi mówił, są takie operacje, których nie może wykonać z powodu braku odpowiedniego sprzętu i doświadczenia. Na przykład dzieci, które miały złamaną i nieleczoną szczękę, później często nie mogą otworzyć ust.
- Ale przecież takie dzieci muszą umrzeć z głodu! - zaprotestowała Steph.
- Nic podobnego! Ich rodzice wybijają im po prostu dwa przednie zęby i karmią je przez słomkę.
- Przez całe życie? - zapytała przerażona.
- Jeśli to konieczne - odparł Harry. - I właśnie z takim przypadkiem będziemy mieli do czynienia. Na to konto wytargowałem z Bobem możliwość sporadycznego, charytatywnego korzystania z łóżka w jego szpitalu.
- Wytargowałeś łóżko za darmo w nowiułtkim szpitalu Boba? - powtórzyła z niedowierzaniem.
- Taak, no cóż... - Wzruszył ramionami, jak gdyby to była banalna sprawa.
- Nic dziwnego, że oczekuje, że będziesz spełniał jego polecenia - mruknęła pod nosem. - Ale będziesz potrzebować czegoś więcej niż łóżka. Będziesz potrzebować czasu w sali operacyjnej i przypuszczalnie pobytu po operacji na oddziale intensywnej terapii dla wszystkich swoich specjalnych pacjentów, i Bóg wie czego jeszcze.
- Spojrzała na niego z podziwem.
- I na to wszystko też go namówiłeś? Zaświeciły mu się oczy.

- Zamęczyłem go mówieniem o świetnej reklamie, jaką taka akcja może przynieść jemu i jego szpitalowi, i chyba w końcu tylko dlatego się zgodził. Ale, być może, od początku uważał, że mogę mu się do czegoś jeszcze przydać.

- Na przykład przekazać informację o nazwie szpitala i zapytać mnie, czy Fanny mogłaby przecinać wstęgę? - Stephanie westchnęła, po czym pokiwała głową. - Ale przecież to drobiazg w porównaniu z możliwością przywrócenia dziecku normalnego życia.

Było jej wstyd, że okazała się taka małostkowa, chciała przeprosić Harry'ego, kiedy sobie uświadomiła, że i tak jej nie słucha, koncentrując całą uwagę na zapisywaniu terminów, nazwisk i uwag na tablicy.

- Kiedy chcesz go operować?

- Mam nadzieję, że we wtorek po jego przyjeździe, kilka dni po otwarciu szpitala. Będzie ciężko, choć z drugiej strony, póki szpital nie pracuje pełną parą, będziemy mieli lepszy dostęp do różnych urzędzeń.

- I Bob się na to wszystko zgodzi?

- Zgodził się, żeby szpital przyjmował dwóch pacjentów w ciągu roku. Ofiarował bezpłatny czas w sali operacyjnej razem ze wszystkimi niezbędnymi medycznymi usługami.

- Ale? - zapytała Steph, słysząc ton wątpliwości w jego głosie.

- Jeszcze mu nie mówiłem, że pacjent przybędzie tak szybko. Rozmawiałem tylko z dyrektorem administracyjnym. Zrobiłem to dzisiaj rano, zanim zadzwoniłem do pozostałych chirurgów, którzy ofiarowali się, że będą pracować za darmo, ale nie mam pojęcia, czy Bob o tym wie. Mam nadzieję, że mi nie powie, że jest na to za wcześnie albo coś w tym rodzaju.

Nagle Harry stracił pewność siebie i wydał się bardzo zmęczony. Chciała do niego podejść, położyć ręce na jego ramionach. Ale wiedziała, do czego to prowadzi.

Harry, nawet wyczerpany, jest niebezpieczny.

- W tej sytuacji może byłoby lepiej, gdybyś mu jak naj-
szybciej powiedział, że Fanny przetnie tę durną wstęgę? -
ustąpiła Steph, mając na uwadze dobro sprawy. - Tylko
beze mnie! - dorzuciła.

- Czy Fanny nie chciałaby, żebyś ją zobaczyła w akcji?
Ociągając się, Stephanie pokiwała głową.

- Ale nie więcej niż to jest konieczne, żadnego ofi-
cjalnego przyjęcia. Wiem, że zostałeś zaproszony na uro-
czystą kolację, która odbędzie się później. Jeśli chcą, żeby
Fanny na niej była, będziesz jej musiał dopilnować.

Harry docenił jej ustępstwo.

- Tak zrobię - zapewnił ją. - I dziękuję. Rzucenie Bobo-
wi czegoś na osłodę z pewnością pomoże sprawie.

- Więc co mamy tutaj zapisać? - zapytała, stojąc przed
tablicą.

- Profilaktyczną kurację antybiotykową, prześwietlenia,
badanie krwi itd. Istotą tej operacji będzie pełna re-
konstrukcja i ponowne uruchomienie szczęki pacjenta. Bę-
dziemy zatem musieli wywiercić i odłączyć od czaszki zro-
śniętą z nią w zawiasach kość. Potem musimy doczepić coś
do tych dwóch kawałeczków kości odchodzących od żu-
chwy, i dołączyć to do czaszki, tak by znowu pasowało do
zębodołów.

- Ale przecież musisz mieć wyściółkę chrząstki, zanim
cokolwiek umieścisz w tych zębodołach i je uruchomisz.
Czy nie dlatego szczęka przyrosła, że chrząstka uległa de-
generacji bądź zanikła z jakiegoś innego powodu?

- Niewątpliwie - odparł Harry.

W miarę jak omawiali inne ważne szczegóły, Steph zaczęło ogarniać podniecenie, które tym razem nie miało nic wspólnego z Harrym. To było podniecenie z nowego odkrycia - nowego dla niej - w dziedzinie medycyny i z nieprzeparłej radości, jaką zawsze odczuwała, kiedy pojawiała się możliwość ulżenia komuś w nieszczęściu.

A uczestniczenie w takim cudzie, nawet gdyby, jak powiedział Harry, operacja miała trwać dziesięć godzin, wydawało się szczególnie emocjonujące.

- Czy przy tak długo trwającej operacji nie przydałyby się dwie zmiany pielęgniarek?

Harry pokiwał głową.

- Pod warunkiem, że zechcą to zrobić za darmo.

- Porozmawiam na ten temat z sekretarką pionu operacyjnego - obiecała Stephanie, dochodząc do wniosku, że będzie jej potrzebna własna tablica albo notatnik, z którym nie będzie się rozstawiała, żeby niczego nie zapomnieć i zmieścić się w czasie.

- No jak, czujesz się na siłach? Cieszysz się, że weźmiesz w tym udział? To nie będzie płatne asystowanie, rozumiesz. Wszyscy specjaliści ofiarowują swój czas za darmo.

- Och, Harry - wyszeptała łamiącym się głosem. - Czy naprawdę tak bardzo się zmieniłam, że musisz o tym mówić? Czy stałam się aż tak rozgoryczona, że postrzegasz mnie jak kogoś, komu zależy tylko na pieniądzach?

Wstała i wyszła.

Jeden krok naprzód i dwadzieścia pięć w tył, pomyślał Harry, siadając i wpatrując się w tablicę. Jak mógł powiedzieć Stephanie coś tak głupiego i krzywdzącego? Zwłaszcza że była taka przejęta. A może właśnie dlatego?

Czy dobrze zrobił, proponując jej tę pracę? Tak bardzo go rozpraszała, że w tej chwili przyklasnęłyby chyba jej pomysłowi przeprowadzenia się do Brisbane, choć może migracja na Marsa byłaby jeszcze lepsza...

Jęknął, po czym zaczął studiować prawie jeszcze czystą tablicę. Dzisiaj jest czwartek, a Ty - bo tak miał na imię pacjent - przybędzie we wtorek.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wiadomość o przyjeździe chłopca z małej wyspy na Pacyfiku narobiła szumu i rozniosła się po całym szpitalu jeszcze przed oficjalnym otwarciem.

- Jesteśmy jak króliki doświadczalne dla wszystkich innych oddziałów - zauważyła Stephanie we wczesnych godzinach wieczornych w piątek, na dzień przed otwarciem, kiedy wróciła po sesji z ciężarnymi kobietami, co pozwalało jej wiązać koniec z końcem. - Prześwietlenia Ty są pierwszymi wykonanymi w szpitalu, a jego krew pierwszą krwią pobraną przez nowe laboratorium.

Mówiąc, wsuwała prześwietlenia do przeglądarki w pokoju zabiegowym Harry'ego, a on stał obok niej, wpatrując się w podświetlone zdjęcia.

- Badania krwi nie wykazują śladu infekcji i laboratorium nie znalazło niczego, co by mogło spowodować przesunięcie terminu operacji - ciągnęła, referując mu wyniki.

Cofnęła się, ponieważ przebywanie tak blisko Harry'ego, nawet jeśli on sam nie zdawał sobie sprawy z jej obecności, denerwowało ją, a nawet mogło być nieobliczalne w skutkach.

- A na pewno się postarali. Pobrali biedakowi sześć fiolek krwi.

Harry odpiął prześwietlenia i wsunął je do koperty, odwracając się równocześnie w jej stronę.

- Dłużej z nim przebywałaś niż ktokolwiek poza rodziną, która go gości. Czy uważasz, że dobrze to zniesie?

- Domyślam się, że się boi, ale ukrywa to. Zachowuje się jak typowy nastolatek, chciałby zobaczyć wszystko naraz! Mówiłam mu o samej operacji i o następstwach, ale odsuwa to od siebie, mówiąc, że jest zbyt zajęty, żeby o tym myśleć. W każdym razie tak mi napisał, ale czy z notatek można wychwycić intonację?

Zadumała się. Wyglądała trochę niespokojnie, jakby nie była pewna, czy przygotowując Ty do operacji, nie zaniedbała czegoś. Harry wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia z zamiarem uspokojenia jej i dodania otuchy. Ale gwałtownie narastające w nim napięcie, kiedy stali tak blisko siebie i oglądali zdjęcia, sprawiło, że jego gest przerodził się w trwającą trochę zbyt długo pieszczotę.

Podniosła wzrok i popatrzyła na niego wymownie.

- Fatalna pora - mruknął, przyciągając ją leciutko do siebie. - I tak od samego początku.

Znajdowała się na odległość pocałunku i nie stawiała oporu.

- Ale po operacji, kiedy już będziemy wiedzieli, że Ty jest w dobrej formie, wyjaśnimy sobie wszystko do końca. Rozumiesz?

Była tak blisko, że czuł jej ciepły oddech, a jej szeroko otwarte oczy wyrażały zarówno obawę, jak i podniecenie.

- W najbliższym czasie czeka nas masa pracy - powiedział. - Zaczekajmy, aż to się skończy i kiedy będziemy mieli czas dla siebie. Czas na zastanowienie się nad tym, co tak naprawdę jest między nami, i czy jest to na tyle mocne, że pozwoli nam przewyciężyć to wszystko, co zdarzyło się w przeszłości.

- Dobrze. Ale czy nie powinniśmy się pocałować ostatni raz dla przypieczętowania naszej umowy? - Wypowiedziała na głos to, co w tej chwili czuła.

Nie czekając na odpowiedź, przysunęła się bliżej, objęła go za szyję i mocno przytuliła do siebie. Potem podniosła głowę i musnęła wargami jego usta, przekomarzając się i wdzierając językiem do środka. Mógł o tym nie wiedzieć, ale dla niej ten pocałunek przypieczętowywał coś więcej niż tylko umowę. On ustawiał na właściwym miejscu smutną przeszłość, uwalniając radosne wspomnienia, usuwając z wątpienia i nieufność, które zawisły nad nimi po śmierci Martina.

Odtąd będzie wspominać przyjaźń i wszystko to, co naprawdę lubiła w Martinie - jego poczucie humoru, jego hojność - i otworzy serce na Harry'ego i na miłość...

Około trzeciej następnego popołudnia nie była już taka pewna, czy zadawnione animozje zostały usunięte do końca. Gdyby pojawił się Harry, z całą pewnością napadłaby na niego, nawet jeśli Fanny nie z jego winy miała przecinać wstęgę na tej cholernej ceremonii. Po prostu potrzebowała kogoś, na kim mogłaby wyładować złość, spowodowaną trudnym zadaniem ubrania czterolatki na tę specjalną okazję.

Sukienka, prezent dla Fanny od Doreen, miała tyle falbanek i marszczeń, że Fanny wyglądała w niej jak lalka z wierzchołka bogato udekorowanej bożonarodzeniowej choinki. Ale Fanny była zachwycona. Kolejna rozbieżność zdań pojawiła się przy wyborze bucików. Stephanie uznała, że w grę wchodzi tylko porządne czarne lakierki, na co Fanny, po w miarę umiarkowanym napadzie złości, oznajmiła, że fioletowe plastikowe sandały będą bez porównania lepsze. Potem sprzeczały się, gdzie zawiązać wstążkę, jak

ułożyć złote loki i czy czteroletnia dziewczynka może używać szminki.

- Wykluczone, Fanny! - upierała się Steph.

- Ale babcia mi pozwala! - argumentowała Fanny. Na koniec nie mogły dojść do porozumienia, jak długo, po dwuletniej przerwie, Fanny może zostać u dziadków.

Złoszcząc się na tę całą idiotyczną sytuację, Stephanie dotarła wreszcie do szpitala, gdzie na dziesięć minut przed rozpoczęciem ceremonii przekazała małą okropnie podnieconej Doreen. Zaczekała jeszcze, aż Doreen odda w szpitalnej recepcji niewielki bagaż Fanny, po czym, życząc Fanny powodzenia, pocałowała ją na pożegnanie i wyszła na zewnątrz.

Podium ustawiono na podjeździe przy głównym wejściu do szpitala, a miejsca dla zaproszonych gości były już prawie wypełnione. Z tyłu stał personel i zainteresowani obserwatorzy. Stephanie znalazła sobie miejsce, skąd mogła obserwować widowisko, nie mając przed sobą niczyjej głowy.

Wtedy się okazało, że nie wzięła aparatu fotograficznego.

- Masz! Muszę usiąść z przodu, z innymi płacącymi czynsz najemcami. Zrobisz mi zdjęcie?

Głos Harry'ego przyprawił ją o miłe ciarki. Wzięła od niego aparat, ciesząc się z dotyku jego palców, zapominając o niedawnej niechęci, szczęśliwa, że ma go znowu przy sobie, nawet jeśli tylko na chwilę.

- Jesteś pewna, że nie weźmiesz udziału w wieczornym przyjęciu? - zapytał delikatnie, a Stephanie wiedziała, że troska w jego oczach wynika z niepokoju o nią, niepokoju o jej stan ducha w tym szczególnym dniu.

- Nie, ale nie przejmuj się mną - odrzekła. - Pogodziłam się, że Fanny weźmie w tym udział i że zostanie u

Quayle'ów. Nawet z nazwą szpitala. Martin był ich synem i go kochali. Miał wiele cech, które zasługują na pamięć.

- Och, Steph! - wyszeptał, a miłość, którą ujrzała w jego oczach, wystarczyła jej za wszystko. - Żebyś wiedziała, z jaką ulgą tego słucham!

Pochylił się i pocałował ją w policzek, dodając:

- Muszę iść, bo jeszcze ktoś zajmie moje miejsce, a obiecałem Fanny, że usiądę na samym środku pierwszego rzędu.

- Obiecałeś Fanny? - powtórzyła jak echo.

- We wtorek, kiedy po przedszkolu bawiła się w gabinecie. Rozmawialiśmy o tym i obiecałem, że zrobię to dla niej.

Uśmiechnął się i odszedł, a Stephanie, która jeszcze niedawno zastanawiała się, czy sprawy między nimi mogą się dobrze ułożyć, poczuła, że mogą - że już prawie nie może być lepiej.

Uroczystość przebiegła bez zakłóceń. Stephanie była niezwykle dumna z Fanny. Zaraz po części oficjalnej, gdy masa ludzi, w tym Fanny, udawała się na kolację do rezydencji Quayle'ów, Rebeka zażądała, by Steph dotrzymała jej towarzystwa.

- Dzieciaki pojechały do ojca, więc urządzimy sobie paniński wieczór - ucięła protest Stephanie. - Napracowałam się ciężko i musisz sobie zrobić przerwę przed operacją Ty.

Zjadły wczesną kolację w restauracji w centrum turystycznym Summerland, a potem, po przedyskutowaniu kilku wariantów spędzenia czasu, udały się na długi spacer plażą, co było daleko przyjemniejsze niż siedzenie w zatłoczonym kinie.

Krótko po dziesiątej Stephanie wróciła do domu, który wydał się dziwnie opustoszały, bowiem Tracy wybrała się z przyjaciółmi na wycieczkę połączoną z surfingiem i miała wrócić dopiero w poniedziałek wieczorem.

Światelko automatycznej sekretarki mrugało i po raz pierwszy od dawna Stephanie bez obaw podeszła do palącego się w ciemnościach czerwonego punkciku. To mogła być Fanny, dzwoniąca na dobranoc.

Wcisnęła guzik i poszła dalej, prosto do kuchni, żeby napić się wody.

To był Harry.

- Steph, czy Fanny jest z tobą? Czy zabrałaś ją od Quayle'ów? Zadzwoń na moją komórkę od razu, kiedy wrócisz.

Serce jej zamarło, jakby je ścisnęła jakaś lodowata ręka i trzymała tak mocno, że nie mogła złapać oddechu.

Nakazując sobie nie wpadać w panikę, podbiegła do telefonu i drżącymi palcami wystukała numer Harry'ego.

- Oczywiście, że nie jest ze mną! - krzyknęła w słuchawkę. - Od jak dawna jej nie ma? Wezwaliście policję?

Czy może uznałeś, że jest tutaj, i w najlepsze bankietowałeś?

Trzasnęła słuchawką i pobiegła do frontowych drzwi, zaciskając kurczowo w rękę kluczyki, żeby ich tylko nie upuścić. Samochód zapalił, a ona całą siłą woli zebrała się w sobie i zmusiła do jazdy, powoli i ostrożnie, w stronę rezydencji Quayle'ów.

Obecność policyjnych samochodów na podjeździe wskazywała, że przynajmniej coś już zrobiono, by odnaleźć jej córkę, ale kiedy młody posterunkowy chciał jej zabronić zaparkowania tuż za nimi, straciła panowanie nad sobą i wrzasnęła na niego, każąc mu się trzymać z daleka i ruszyć na poszukiwanie jej córki.

- Steph! - Harry wyrósł jak spod ziemi, ale gdy chciał ją objąć, zrobiła unik.

Powstrzymywany długo strach wybuchł jak wulkan. Odwróciła się ku niemu, obrzuciła masą oskarżeń, obarczając go winą za powrót - wtargnięcie w jej życie - mówiąc rzeczy, które nawet w stanie największego przerażenia były niewybaczalne.

Cofnął się i przyjmował to wszystko, pochylając głowę, jakby przyznawał jej prawo do takiej furii, po czym, kiedy skończyła, a złość zastąpił szarpiący wnętrzości szloch, objął ją i poprowadził do domu.

- Jesteś pewny, że to nie jest kolejny podstęp Doreen? - zapytała. Zawahała się przy wejściu do domu, którego nadal nienawidziła. - Czy mogłoby dojść do tego, gdyby ona i Bob nie maczali w tym palców?

Strach i ból zatykały jej gardło, czyniąc jej głos schrypniętym i szorstkim.

- Są równie zrozpaczeni jak ty, Steph - odrzekł spokojnie. - Doreen musiała wziąć coś na uspokojenie, a wy-

starczy spojrzeć na Boba, aby wiedzieć, że nie ma z tym nic wspólnego.

Pomógł jej przekroczyć próg, sam dźwigając na barkach swoją winę, mając w uszach zapewnienie, że przy nim Fanny będzie bezpieczna.

Steph wylała na niego całą wściekłość, ale to było nic w porównaniu z jego własnym poczuciem winy. A jeśli chodzi o jakąś nadzieję na ich związek...

Jeden krok naprzód, czterysta w tył, choć akurat w tej chwili jego osobiste uczucia były najmniej ważne.

- Kiedy to się stało?

Rozglądała się po holu, jakby tu nigdy wcześniej nie była, jakby nigdy nie mieszkała w tej ogromnej rezydencji.

- Nie wiemy, Steph - odparł. - O ósmej Doreen zaprowadziła ją na górę do łóżka, poczytała jej i opatuliła. Została z nią aż do zaśnięcia. Potem, trochę po dziewiątej, pani Woods przyszła się upewnić, czy Fanny śpi.

Zrobił przerwę, z potwornego napięcia zaschło mu w ustach.

- Początkowo pani Woods pomyślała, że może Fanny się schowała, ale kiedy jej nie znalazła, zaalarmowała Boba, a goście pomogli przeszukać dom.

- I pewnie wtedy Bob wpadł na pomysł, że ją zabrałam, i wszyscy odetchnęli z ulgą - warknęła Stephanie, gdy znów zalała ją krew. Musiała kogoś zranić, sama będąc tak bardzo zraniona.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek z nas potraktował to poważnie - powiedział Harry, stawiając się tym „my” razem z Quayle'ami.

Ale w tym momencie pojawił się Bob, który jakby postarzał się o dwadzieścia lat.

- Stephanie! - zawołał, wymawiając jej imię jak rozpaczliwą skargę, podchodząc do niej z wyciągniętymi w błagalnym geście rękami.

Steph zobaczyła jego cierpienie i biorąc go za rękę, ścisnęła je mocno. I tak szukający pocieszenia zamienił się w pocieszyciela.

- Wychodzę na dwór - oznajmił. - Pewnie się tam na nic nie przydam, ale nie mogę znieść bezczynności.

Pokiwała głową, po czym rozejrzała się po holu z jego wysokimi ścianami biegnącymi przez dwie kondygnacje i wielką klatką schodową, sięgającą najwyższego piętra. Ona także musiała się czymś zająć, żeby uciec przed wrażeniem, że ściany zamykają się nad nią, i żeby nie krzyknąć z przerażenia.

Harry chyba wyczuł, że jest bliska omdlenia. Znowu otoczył ją ramieniem, pomagając jej dojść do schodów, przemawiając spokojnie, choć jemu samemu łamał się głos.

- Policja przeszukuje dom i ogród, a w bibliotece jest dwóch detektywów. Spisują nazwiska i adresy gości, wypytując o wszystko, co mogli widzieć. Goście są w salonie, więc pewnie nie chciałybyś tam wchodzić. Wolisz posiedzieć na schodach czy pójść nad basen?

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę ani siedzieć, ani czekać. Będę jej szukać.

- Gdzie, Steph? - zapytał, na co potrząsnęła głową, czując, jak łzy bezradności spływają jej po policzkach.

- Mogę zajrzeć do jej pokoju? Czy jej torba też znikła?

- Zaraz się dowiem.

W tym momencie pojawił się wyglądający na zaafektowanego mężczyzna w wypłowiałych dżinsach i w króciastej koszuli.

- Czy pani Quayle? - zapytał, podchodząc.

- Prince. Nazywam się Prince. Jestem matką Fanny. O co chodzi?

- Brad Drew z policji śledczej - przedstawił się.

-Szukamy pani córki, rozesłaliśmy jej opis. Zdejmujemy jej odciski palców, zadajemy pytania wszystkim gościom.

Dwie stacje telewizyjne nadawały program z otwarcia szpitala. Dostaniemy kopie wszystkiego, co nakręcili, będziemy więc wiedzieć, kto był na uroczystości.

Urwał na chwilę, po czym dodał:

- Chcę również pani zadać kilka pytań. Na, temat miejsca lub miejsc, gdzie pani przebywała dzisiaj wieczorem. I kto mógłby chcieć wyrządzić pani krzywdę.

- Nikt - odrzekła Steph, ale otwarcie szpitala i zniknięcie Fanny wydały jej się nagle dziwnym zbiegiem okoliczności.

Przerażona podejrzeniem chwyciła policjanta za ramię.

- Otwarcie szpitala? Ona była na podium jako wnuczka właściciela. Czy jakiś chory na umyśle człowiek nie wpadł na myśl, że właściciel szpitala ma pieniądze? Czy nie wzięto jej dla okupu?

Spojrzenie, jakie policjant wymienił z Harrym, zdziwiło ją. Było w nim coś z ulgi, jakby porwanie miało być dobrym wytłumaczeniem na zniknięcie jej córki.

Ale mężczyzna niczego nie wyjaśnił, a ona była zbyt roztargniona, by się nad tym głębiej zastanawiać, więc ponownie zapytała o torbę Fanny.

- Torba znikła, pani Woods od razu to zauważyła. Lepiej żeby pani nie szła na górę - poradził policjant. - Wolelibyśmy, żeby w domu było jak najmniej ludzi, wtedy naszym specjalistom może łatwiej będzie coś znaleźć.

Steph pokiwała głową i bezradnie opuściła ramiona.

- Ale ja muszę się czymś zająć - powiedziała.

- Chodź do kuchni i napij się herbaty - zasugerował Harry. - Brad musi ci zadać trochę pytań na temat przyjaciół

i krewnych, na temat samej Fanny i tego, czy mogła wyjść z kimś, kogo nie znała. Musisz się trochę uspokoić i zastanowić nad odpowiedziami.

Objął ją i poprowadził. Szła na drżących nogach, więc kiedy usiadła w kuchni, stwierdziła, że to dobra decyzja, i zątpiła, czy poradziłaby sobie bez Harry'ego.

Brad zaczął od dość prostych pytań - nazwiska, adresy, szczegóły dotyczące Fanny i jej przedszkola.

- I chociaż pani córka była na uroczystej kolacji po otwarciu szpitala imienia pani męża, pani tam nie było. - To było stwierdzenie, nie pytanie, które Steph zignorowała, więc Brad podszedł ją z innej strony. - Miała pani sprawę w sądzie w związku ze złymi stosunkami z teściami - powiedział wprost.

Nagle podtekst, jaki dotąd wyczuwała w pytaniach Brada, wydał jej się zupełnie jasny. Chciała zaprotestować, ale Harry był szybszy.

- To nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Fanny - oświadczył, hamując gniew. - Steph jest ostatnią osobą, przy której Fanny mógłby spaść choć jeden włos z głowy, nie wycięłaby też takiego numeru, żeby zwrócić na siebie uwagę czy zemścić się, albo z innego makabrycznego powodu, który może się zrodzić w głowie policjanta.

- Aż tak dobrze zna pan doktor Prince? - zapytał policjant, a Steph popatrzyła na Harry'ego, w którego oczach dostrzegła troskę i ból.

- Znam ją równie dobrze jak siebie samego. Nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Fanny, zresztą sprawdźcie jej alibi, żebyście mogli jak najszybciej przejść do bardziej konstruktywnych pytań.

Brad coś odpowiedział, ale Steph nie słuchała, tylko powtarzała w myślach słowa, które wypowiedział Harry: „Znam ją równie dobrze jak siebie samego”. Z jakiegoś

powodu znalazła pocieszenie w tym prostym stwierdzeniu, które dało jej siłę, by przetrwać ten dzień.

W poniedziałek rano nadal nie było żadnej wiadomości o Fanny, poza tym, że jej fotografia pojawiła się we wszystkich gazetach i na ekranach telewizorów w całym kraju. Nikt nie *zwrócił się* z żądaniem okupu, co Steph uznała za zły znak, bowiem wiedziała, że przy porwaniu dziecka istnieje jakaś szansa na jego odzyskanie...

- Jak to możliwe, żeby z pięćdziesięciu osób krążących podczas przyjęcia po domu nikt niczego nie zauważył? - zapytała Brada, który siedział w jej saloniku i po raz kolejny analizował sytuację.

Znów zadawał pytania, mając nadzieję, że jakaś przypadkowa uwaga czy odpowiedź przybliży motyw zniknięcia Fanny.

- Dlaczego zniknęła akurat teraz?

Bob przestał chodzić w tę i z powrotem, i usiadł obok Steph na kanapie.

- Ktokolwiek to zrobił, mógł celowo wybrać tę okazję - zauważył Brad, podczas gdy Bob objął Steph, ofiarowując jej milczące wsparcie i pocieszenie.

Bob rzadko ją odstępował, on i Harry przesiedzieli z nią długie dni i jeszcze dłuższe noce. Rzadko się odzywając, jakby lepiej było nie wypowiadać na głos dręczących myśli.

I choć tak bardzo potrzebowała bliskości Harry'ego, sprzeciwiła się jego dalszej tutaj obecności. Jest przecież tyle do zrobienia przed mającą się odbyć nazajutrz operacją małego Ty.

- Mogę ją przełożyć - powiedział wcześniej, kiedy prawie na siłę wypchnęła go z domu do szpitala.

- Nie ma mowy - zaprotestowała. - Chłopiec jest już przygotowany. Przekładanie operacji byłoby okrucieństwem.

Na odchodnym uściśnęła jego rękę i pocałowała go w policzek.

Ale jego odejście pozostawiło w niej nowe poczucie pustki. Aż dziw, że Harry tak szybko wszedł ponownie w jej życie, pokonując mechanizmy obronne, którymi się obwarowała, by chronić się przed zranieniem.

Ale żaden z tych mechanizmów nie uchronił Fanny...

Głos Brada przywołał ją do rzeczywistości.

- Dostałem filmy z uroczystego otwarcia ze wszystkich stacji telewizyjnych. Nasi ludzie przejrzeni je i posklejali, może więc pani obejrzeć całość na wideo. Mogę to puścić tyle razy, ile pani zechce, ale najbardziej potrzebne nam są nazwiska wszystkich, którzy tam byli. Wsunął kasetę do odtwarzacza i zwrócił się do Boba.

- Dzięki pomocy pracowników administracji szpitala zidentyfikowaliśmy większość zaproszonych gości i personelu, ale jest trochę osób, zakreśliliśmy je na biało, do których nie możemy dopasować nazwisk.

Kiedy Brad puścił taśmę, Steph zobaczyła między innymi swoje własne ujęcia i otarła beużyteczne łzy, patrząc, jak jej śliczna córka przecina wstęgę. Głos został usunięty, ale kiedy patrzyła na przemawiającego Boba, przypomniała sobie fragment jego wypowiedzi i zrobiło się jej okropnie przykro, że zdrady Martina przesłoniły jej fakt jego śmierci.

Pierwsza zakreślona głowa należała do mężczyzny, który wydawał się znajomy. Brad zatrzymał taśmę, żeby mogli się przyjrzeć niewyraźnemu obrazowi.

- Kent Cross, jeden z ochroniarzy, których zatrudniłem przez moją firmę budowlaną. Nie na wiele się zdał - stwierdził sarkastycznie Bob.

Kolejnego mężczyzna Steph znała.

- Bill Jackson. Jest lekarzem pierwszego kontaktu, który ma dyżur, kiedy ja spotykam się z kobietami w ciąży. Nie widziałam go na otwarciu.

Brad zapisał imię i nazwisko i puścił film dalej. Znów zobaczyła siebie, tym razem z Rebeką - z białym kółkiem wokół głowy.

- To moja koleżanka, nowa recepcjonistka Harry'ego.

RS

Kolejna kobieta, i jakby znowu znajoma. Tylko tym razem rozpoznaniu towarzyszyło uczucie mdłości. Steph otrząsnęła się ze złych wspomnień i czekała na dalszy ciąg filmu.

- Wydała mi się do kogoś podobna, to wszystko. Przywołała...

Przypominając sobie, że Bob siedzi obok, nie dokończyła. Ale Brad nalegał.

- Złe wspomnienia? Ktoś, kogo pani nie lubi?

- To nie może być ona - odrzekła Steph. - Poza tym widziałam ją tylko raz, do tego ponad cztery lata temu, więc i tak nie mogłabym jej w niepodważalny sposób zidentyfikować.

- Każdy drobiazg może się okazać pomocny - przypomniał jej Brad. - Nawet najmniejsze skojarzenie.

Steph zamknęła oczy, ale obraz kobiety, którą widziała jeden raz w życiu, wrył się w jej pamięć, a teraz wrócił w technikolorze.

- Kto to może być, Steph? - dopytywał się Bob. - Ktoś, kto mógł chcieć wyrządzić krzywdę tobie albo Fanny?

- Nie! - Jej protest był krzykiem rozpaczony. Zaczęła dygotać. - To nie ona, a jeśli nawet, to na pewno jest to jakiś zbieg okoliczności. To było tak dawno temu, nawet nie znam jej nazwiska.

- Jeśli istnieje choćby najmniejsze przypuszczenie, że ta kobieta może znać Fanny, musimy to zbadać - nalegał Bob.

- Harry, który przeglądał taśmę, podejrzewa, że to może być niejaka Stella - powiedział Brad. - Czy o niej pani myślała?

- Tak - odrzekła zdławionym głosem - ale tylko raz ją spotkałam.

- Kto to taki? - dopytywał się Bob. - Ktoś, z kim kiedyś pracowałaś? Ktoś, kto także znał Martina, więc przyszedł na otwarcie szpitala? To by było normalne.

Steph wzięła głęboki oddech. Wybór między ratowaniem Fanny a nieranieniem Boba zszedł na daleki plan.

- Przykro mi, Bob, wolałabym ci tego nie mówić, ale Stella była przyjaciółką Martina.

Mówiąc to, zrzuciła z siebie ciężar.

- Nic o niej nie wiedziałam, ale podobno byli ze sobą związani, zanim Martin mnie poślubił. Może na krótko ze sobą zerwali, ale według tego, co mówiła Stella, która złożyła mi wizytę w szpitalu dzień po śmierci Martina, była jedyną osobą, którą kochał, a w parę miesięcy po naszym ślubie ponownie zostali kochankami. Martin ożenił się ze mną, gdy zorientował się, że Harry się mną interesuje. Kiedy byliśmy przyjaciółmi, wszystko grało, ale kiedy Martin pomyślał, że Harry i ja moglibyśmy zostać parą, uznał, że mógłby być wyłączony z tej przyjaźni.

Bob siedział sztywno i wpatrywał się w nią nieruchomym wzrokiem.

- Uważam, że powinieneś również wiedzieć, że Stella, według tego co mówiła, nie była jedyną kobietą, którą Martin się interesował. I właśnie z tego powodu tak bardzo cierpiałam, Bob. Że mnie zdradzał, nie tylko ze Stellą, ale z innymi kobietami. I że nigdy mnie tak naprawdę nie kochał! To także boli. Nie powiedziałam o tym tobie i Doreen, ponieważ nie chciałam rzucać cienia na waszą pamięć o nim, ale nie mogłam dłużej z wami mieszkać i słuchać, jaki to on był wspaniały, kiedy sama czułam się taka zraniona.

Otarła spływające po policzkach łzy.

- Stella mnie nienawdziła, winiła mnie za śmierć Martina. Powiedziała mi to wszystko podczas jednej krótkiej

wizyty. Ale to było tak dawno temu. Po co miałyby czekać tak długo, żeby teraz zrobić mi krzywdę? To niemożliwe!

- Mówiłaś, że Harry o tym wiedział? - Głos Boba był równie zdławiony jak jej, i Steph zdała sobie sprawę, że Bob kolejny raz przeżywa stratę syna.

- Wiedział! Zapytałam go o to, kiedy mnie odwiedził po jej wizycie, a on to potwierdził. Powiedział też, że milczał, bo nie chciał mnie zranić, i że Martin obiecywał zerwać ze Stellą.

- Jeśli cię nienawidziła, to może być tylko ona!
- stwierdził Bob, zwracając się do Brada i pytając go, co o tym sądzi.

- Zaczęliśmy szukać jej śladów, gdy tylko Harry podał jej imię - tłumaczył Brad. - W tej chwili nie ma jej w miejscu jej zamieszkania. W szpitalu, w którym pracuje, dowiedzieliśmy się, że jest na urlopie. Zawiadomiliśmy wszystkie patroly drogowe, żeby zatrzymały jej samochód, ale nie zapominajmy, że jest ona tylko jedną i z wielu osób, które uczestniczyły w uroczystości i że j musimy ze wszystkimi porozmawiać.

Właśnie skończył mówić, kiedy znów zadzwonił jego telefon.

- Muszę wracać na posterunek - oznajmił po rozmowie.
- Zostawię wam taśmę. Przejrzyjcie całą i dopiszcie nazwiska przy pozostałych osobach.

Wstał, a Stephanie razem z nim, chcąc być tam, gdzie coś się dzieje.

- Nie! Nie mamy nic nowego. Wracam w zupełnie innej sprawie, ale będę z wami w kontakcie.

Czy Stella to dobry czy fałszywy trop?

Stephanie nie była pewna.

Zrobiła kawę dla siebie i Boba, po czym wróciła do oglądania taśmy. Udało im się jeszcze zidentyfikować czte-

ry twarze, dwie pozostałe zaznaczyli jako nieznane. Czeka-
jąc na policjanta, który miał odebrać taśmę, Steph jeszcze
raz ją obejrzała, zatrzymując się na twarzy, która mogła być
twarzą Stelli.

Zastanawiała się, co może wynikać z faktu, że ta ko-
bieta mogła być odpowiedzialna za zniknięcie Fanny.

Z jednej strony miała nadzieję, że ktoś, kto kochał Mar-
tina, nie może zrobić krzywdy jego dziecku...

Z drugiej strony... spotkanie przed laty ze Stellą prze-
pojone było taką nienawiścią, iż można było założyć, że
krzywdząc Fanny, chce dosięgnąć Steph.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Harry zbadał swojego pacjenta, następnie porozmawiał z Ty o tym, co będą mu robić, przygotowując go do operacji, i następnego dnia po niej. Jednak myślami był przy Fanny i Steph, wszelkimi sposobami odsuwając od siebie najgorszą wersję.

- Stephanie wszystko mi powiedziała. Czy już znaleźli jej córeczkę?

Uwaga Ty ponownie rozbudziła niepokój Harry'ego, ale nie dał tego po sobie poznać i odparł zdecydowanie:

- Nie, ale ją znajdują.

Czy pozytywne myślenie może pomóc? A jaki wpływ może mieć przerażenie, które go nie odstępuje?

Uspokojony, że Ty rozumie stan jego ducha, powierzając Rebecce czuwanie nad sprawami, wrócił do Stephanie, dzwoniąc po drodze na posterunek policji, pytając o najnowsze wiadomości.

- Czy znał pan tę Stellę? - zapytał Brad.

- Nie za bardzo, tylko jako pracownicę szpitala. Zdaje się, że była pielęgniarką na oddziale ginekologiczno-położniczym w czasie, gdy Martin i ja zaliczaliśmy medycynę kliniczną, a Steph robiła pediatrię.

- Poznałby ją pan?

- Tak, chyba tak. Myślę, że ona również mogłaby mnie poznać. W końcu zakładając, że to ona była na uroczystości, wszystkich lekarzy specjalistów przedstawiano z nazwiska. Ustawiono nas tak, żebyśmy byli widoczni.

- To dobrze - stwierdził Brad. - Gdy ją znajdziemy, a istnieje poważna szansa, że to ona porwała dziecko, komuś, kogo zna, łatwiej będzie się do niej zbliżyć.

- Proszę dać mi znać, gdybyście mnie potrzebowali - powiedział Harry, podając numer swojego pagera.

- Oddzwonię. W ten sposób nie będziemy niepotrzebnie rozbudzać nadziei Steph.

Wchodząc z ciężkim sercem do domu Stephanie, zastanawiał się nad sytuacją. Wracając do Summerland, miał nadzieję, że spełni się jego marzenie - że on, Steph i Fanny staną się w jakiś sposób rodziną. Że Steph ponownie mu zaufa.

Ale teraz?

Potrząsnął głową i zamiast o Fanny, pomyślał o Stelli Spence, która przysporzyła już tyle bólu Steph.

Czyżby ta sama osoba miała teraz zniszczyć życie Steph?

Dzień ciągnął się w nieskończoność. Wrócił Harry, ale do późnego popołudnia nie wydarzyło się nic nowego. Potem Harry został wezwany do szpitala na spotkanie z pozostałymi specjalistami, mającymi uczestniczyć w operacji. Stephanie pomyślała o Ty, ale nie czuła się na tyle silna, by pojechać do szpitala i go wesprzeć. Jej umęczone ciało i umysł koncentrowały się na Fanny i nawet gdyby obok wybuchła bomba, nie zrobiłoby to na niej większego wrażenia.

O dziesiątej wieczorem zjawił się w jej domu młodszy rangą policjant.

- Przysłała mnie Brad z wiadomością, że namierzyliśmy Stellę. Jest w motelu przy plaży na południowym krańcu Summerland. Według właścicieli motelu była sama, kiedy się meldowała około dziewiątej wieczorem w sobotę, ale nie wykluczają możliwości, że dziecko mogło spać w samochodzie.

W Stephanie wstąpiła nadzieja. Potrząsnęła ramieniem policjanta, domagając się więcej informacji.

- Podobno Stella powiedziała właścicielowi, żeby jej nie przeszkadzano - dodał. - Wy tłumaczyła, że jest pielęgniarką na urlopie i że jedyne, czego pragnie, to spać przez parę dni, ale właściciele słyszeli włączony prawie przez cały dzień telewizor, poczawszy od poranka dla dzieci.

- Jeśli zameldowała się w sobotę wieczorem, to by pasowało. A Fanny uwielbia telewizję, chociaż nie pozwalam jej za dużo oglądać - wyjaśniła Steph, podniecona i jednocześnie przerażona, że Fanny może nie być z tą kobietą. - Dlaczego więc tam nie wejdziecie i nie sprawdźcie?

- Brad obserwuje pokój. Czeka na właściwą chwilę. Będzie bezpieczniej, jeśli tam wejdziemy, gdy Stella będzie spać. Przyjechałem, żeby państwa zabrać. Wyruszymy, kiedy tylko otrzymam wiadomość, że w mieszkaniu zgasło światło. Możecie posiedzieć w samochodzie, i gdyby Fanny tam była, od razu byśmy ją wam oddali.

- Jeśli Fanny żyje - wyszeptał Bob.

- Oczywiście, że żyje - oburzyła się Stephanie. - Musimy w to wierzyć, Bob! Nie wolno nam tracić wiary.

Pobiegła do pokoju Fanny i chwyciła jej misia, jeszcze z kokardą na szyi, po uroczystości w przedszkolu. Następnie złapała koc, który przykrywał łóżeczko Fanny, kiedy była

niemowlęciem. Ściskając te rzeczy niczym talizman, wróciła do saloniku.

- Idziemy - oświadczyła.
- Jeszcze za wcześnie - sprzeciwił się policjant.
- Więc posiedzimy na dworze. Musicie tam mieć inne samochody, z których policjanci podsłuchują i obserwują. Poobserwujemy razem z nimi.

Motel znajdował się na końcu bocznej ulicy, a parkowały przed nim tylko dwa pojazdy.

Na zewnątrz panował mrok. W jednym z zasłoniętych okien motelu paliło się światło.

- Tam stoi jeden z naszych samochodów - wyjaśnił policjant, wskazując na auto ukryte w cieniu ogromnego figowca. - Kiedy światło w oknie zgaśnie, poczekają jeszcze jakąś godzinę - dodał.

Stephanie powstrzymywała się, żeby nie wyskoczyć z samochodu, nie pobiec i nie wywalić drzwi, za którymi mogła być jej córka.

Oczekiwanie w ciemności zdawało się trwać wieczność. W pewnej chwili światło w oknie zgasło.

- Musimy jeszcze dać jej czas na zaśnięcie - przypomniał policjant i zwrócił się do Stephanie. - Musi mieć pani świadomość, że może Fanny tu nie ma. Może rzeczywiście Stella spędza tu tylko urlop i odsypia zaległości. Zaś będąc w Summerland, mogła po prostu wmieszać się w tłum, żeby obejrzeć otwarcie szpitala, któremu nadano imię jej kochanka.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę - odparła Stephanie. - Myślę jednak, że jesteśmy na dobrym tropie. Może to głupie, ale czuję, że Fanny jest blisko.

- I żyje - dodał Bob, ściskając jej rękę.

Po wlokącej się niemiłosiernie długo godzinie czterech policjantów, w tym jedna kobieta, wkroczyło do akcji.

Stephanie wolała się nie zastanawiać nad niebezpieczeństwem sytuacji. Nie tylko dla Fanny, ale także dla ludzi, którzy narażają życie, by ratować jej dziecko.

Jeżeli tam jest...

Trzech mężczyzn zbliżyło się do budynku. Światło w recepcji oświetliło ich sylwetki.

- Przecież ten wysoki to nie policjant, to Harry! Skąd tu się wziął? Co tutaj robi? - wykrztusiła Stephanie.

Drżąc z przerażenia, przywarła do Boba, ale zanim zdążył jej odpowiedzieć - jeśli znał odpowiedź - zobaczyła, jak otwierają się drzwi motelowego pokoju i jak do środka pierwszy wchodzi Harry. Zamknęła oczy i modliła się, tym razem nie tylko za Fanny, ale i za Harry'ego.

Postacie znikły, a po chwili rozległ się okrzyk Brada:

- Bingo!

To nie był umówiony znak, ale Stephanie wiedziała, co znaczy. Wypadła z samochodu, przecięła podjazd na tyłach motelu, dopadła drzwi mieszkania w momencie, gdy Harry wynosił stamtąd na rękach jasnowłosą istotkę.

Wyrwała mu dziecko, ale przyciskając je do piersi, nie spuszczała oczu z człowieka, który je uratował.

- Mogłeś zginąć - mruknęła, by już po chwili napawać się widokiem córeczki, przypatrując się jej uważnie, jakby sprawdzając, czy to na pewno Fanny, czy żyje i jest cała.

Fanny otworzyła zaspane oczy i uśmiechnęła się.

- Och, mamusiu, wróciłaś. Tak się cieszę. Stella jest taka nudna. Widziałaś moje zdjęcie w telewizji? Czy dlatego je pokazywali, bo przecinałam wstęgę?

Przyłgnęła do matki, która zamknęła oczy i dziękowała nie tylko za szczęśliwe odnalezienie dziecka, ale również za to, że ciężka próba, przez którą przeszła Fanny, była dla niej bardziej nudna niż traumatyczna.

Koszmar ostatnich paru dni i doznana ulga dały o sobie znać. Pod Stephanie ugięły się kolana i pewnie by zemdlą, gdyby Harry i Bob nie złapali jej i nie pomogli dojść do samochodu.

Kiedy nareszcie znaleźli się w domu, Stephanie ułożyła Fanny w swoim łóżku, zaczęła jej czytać bajkę, patrząc, jak mała zasypia po pierwszej stronie.

- No, a teraz i ty kładź się spać - rozkazał Harry. - Zostanę z wami i dopilnuję Fanny.

- Nie możesz - powiedziała Steph, z trudem pokonując zmęczenie. - Musisz się wyspać. Jutro masz operację.

- Poprosiłem kogoś, żeby mnie zastąpił - odparł.

- Nie możesz tego zrobić. Przecież wróciłeś tutaj dla tych operacji. To było twoje marzenie, Harry.

- Marzenie niewiele znaczy wobec rzeczywistości, której doświadczyliśmy w ostatnich dniach, Steph. To straszne, gdy mężczyzna uświadamia sobie, że nie może zapewnić bezpieczeństwa kobiecie, którą kocha, więc pozwól, że chociaż teraz zostanę. Nie potrafię inaczej.

Delikatnie dotknął jej policzka, wygładził palcem miejsce między brwiami, gdzie - była tego pewna - musiały pojawić się ślady zmarszczek.

- Nie przejmuj się. Gdy tylko trochę odpoczniesz, zdążę jeszcze złapać odrobinę snu i zmienię głównego chirurga. Ustaliliśmy, że będziemy pracować na zmianę.

Kiedy Stephanie poderwała się ze snu i wyskoczyła z łóżka, Fanny była już w saloniku. Siedziała na kolanach Harry'ego, który czesał jej włosy.

- Sama się ubrałam, ale nie umiałam się uczesać -oznajmiła Fanny.

Stephanie łzy napłynęły do oczu. Fanny jest cała i zdrowa! Wzięła córeczkę na ręce i przytuliła ją mocno, a potem,

gdy mała oświadczyła, że sama weźmie sobie śniadanie i ruszyła do kuchni, Stephanie zwróciła się do Harry'ego.

- Dziękuję - powiedziała, uśmiechając się do niego tak, jakby to robiła po raz pierwszy od miesiący.

- Nie musisz mi dziękować, Steph, przecież wiesz.

Wstał, a po sposobie, w jaki się poruszał, widziała, że jest bardzo zmęczony. Ale gdy ją objął, poczuła jego siłę, a gdy popatrzył jej w oczy, zobaczyła w nich miłość.

- Wiem, że teraz chcesz pobyc z Fanny. Ale kiedy poczujesz się pewniej, kiedy się przekonasz, że i tobie nie grozi żadne niebezpieczeństwo, pomyśl trochę o nas. O sobie i o mnie, i o tym, czy widzisz dla nas jakąś wspólną przyszłość?

Delikatnie pocałował ją w usta.

- Chciałbym móc ci obiecać, że już nigdy nie będziesz nieszczęśliwa, ale na tym świecie nie ma żadnych gwarancji, Steph. Wszystko, co ci mogę obiecać, to moją miłość.

Odwrócił się i wyszedł, nim zdążyła odpowiedzieć.

Stephanie pozostała w domu przez tydzień i choć wiedziała, że Fanny powinna wrócić do swoich codziennych zajęć, nie była w stanie oddalić się od niej - do tego stopnia, że gdy mała była w przedszkolu, czekała na nią w samochodzie.

Rebeka codziennie przekazywała jej sprawozdanie o stanie zdrowia Ty. Operacja się udała, chłopca przeniesiono już z oddziału intensywnej terapii i jego stan poprawiał się z dnia na dzień.

Harry miał coraz więcej pacjentów, gdy Bob, co było do przewidzenia, nadał rozgłos „darmowej” operacji, przysparzając reklamy szpitalowi, a przy okazji Harry'emu.

Gdy opadł stres i życie wróciło do normy, Steph zaczęła się zastanawiać, dlaczego Harry nie dzwoni i nie odwiedza jej.

Ponieważ chce, żebyś to ty wykonała kolejny ruch, przypomniała sobie. Ofiarował ci swoją miłość - i teraz ty masz zdecydować, czy ją przyjmiesz, czy nie.

Zastanawiała się nad tym w piątek - pierwszy dzień, kiedy poczuła, że może zostawić Fanny w przedszkolu, i właśnie wracała do domu. Ale jeszcze nie czuła się na tyle pewnie, żeby wrócić do pracy.

W środę wieczorem zadzwonił Brad. Stella przyznała się, że o otwarciu szpitala dowiedziała się dzięki reklamie. Podobno, kiedy zginął Martin, była w czwartym miesiącu ciąży, ale poroniła. Szum wokół otwarcia szpitala na nowo stworzył jej rany, a wraz z nimi obudził przytłaczające poczucie niesprawiedliwości.

Nie zamierzała porwać Fanny. Raczej chciała popsuć atmosferę uroczystości. Ale Fanny była tak podobna do Martina, że Stella nie zapanowała nad sobą, wmieszała się

w tłum gości, odnalazła pokój, w którym Fanny spała, zniosła ją ze schodów i opuściła rezydencję tylną bramą.

Stephanie zrobiło się nawet żal kobiety, która została oszukana i zawiedziona we wszystkim, czego pragnęła.

A myśląc o niej i o Martinie, musiała pomyśleć o Harrym i - przecież prosił, żeby się zastanowiła - o ich wspólnej przyszłości. Czy jest gotowa złożyć swoje szczęście w czyjeś ręce - szczęście swoje i Fanny?

Czy jest gotowa jeszcze raz zaufać?

Wahała się. Może jest jeszcze za wcześnie?

Po południu zjawił się Bob. Był teraz bardziej wyrozumiały i nie naciskał, by z nimi zamieszkała, tylko zaproponował, że spłaci jej dom i będzie pokrywać koszty ich utrzymania, żeby nie musiała pracować.

- Ale ja lubię pracę - powiedziała Stephanie. - I muszę coś robić. Nie mogę siedzieć w domu i zamartwiać się o Fanny. I pewnie wyrządziłabym jej nieodwracalną krzywdę, stając się nadopiekuńcza mamą.

- Wrócisz do pracy z Harrym? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, czy propozycja pracy jest nadal aktualna - przyznała. - Zwłaszcza że kobiety mające na utrzymaniu dzieci nie są najbardziej niezawodnymi pracownikami.

Chirurg nie może się wycofać z operacji w ostatniej chwili, a gdyby na przykład Fanny zachorowała, może musiałabym tak postąpić.

Bob pokiwał głową.

- Gdybyś się zgodziła, Doreen mogłaby cię wyręczać od czasu do czasu. Wiem, że po śmierci Martina trudno było na nią liczyć, ale zniknięcie Fanny zmieniło wszystko. Nie tknęła kropli alkoholu i podjęła się pracy w szpitalu jako wolontariuszka. Dotknął delikatnie ramienia Steph.

- Ona musi czuć się potrzebna, Steph. Teraz dla odmiany Stephanie pokiwała głową.

Po odebraniu Fanny z przedszkola i pozostawieniu jej z Tracy po raz pierwszy od zaginięcia, Stephanie pojechała do szpitala. Najpierw skierowała się na oddział chirurgiczny, gdzie odwiedziła Ty, którego zastała w dobrym nastroju i który, choć jeszcze obandażowany, pochwalił się przed nią i na próbę poruszył szczęką.

Potem udała się do Harry'ego.

Zawahała się dopiero przy zamkniętych drzwiach jego gabinetu.

- Harry?

Nie było odpowiedzi, ale usłyszała szuranie nogami i po chwili zobaczyła go w otwartych drzwiach.

- Harry! Co się stało?

Z trudem zdobył się na uśmiech.

- To nie był najlepszy tydzień w moim życiu, Steph - powiedział, nie zapraszając jej do środka, nie wyciągając ręki, żeby ją dotknąć.

- Czy chodzi o Ty? Jakież komplikacje?

Była tak zaniepokojona, że sama wyciągnęła do niego rękę, chwyciła go za przedramię, czując, jak spina mięśnie, jakby się bronił przed dotykiem.

Spojrzała ponad jego ramię i zobaczyła zdjęcia rentgenowskie w przeglądarce. Minęła go i zapytała:

- Czy to jego zdjęcia? Najnowsze? Czy jesteś zadowolony z wyniku operacji?

- Bardzo - odparł grobowym głosem. - Chodź, zobacz, jak dobrze przyjęła się nowa kość.

Podszedł bliżej, chcąc jej to pokazać.

Ale Stephanie nie mogła się skoncentrować na tym, co jej pokazywał i mówił. Odwróciła się i położyła ręce na jego ramionach. I znów poczuła, jak zeszytywniał, ale postanowiła nie odkładać tego, co miała mu do powiedzenia.

- Harry, myślałam o tym, co mówiłeś. Myślałam o nas.
- I? - zapytał bezzwłocznie, a ona zobaczyła niepokój w jego oczach, jakby się spodziewał złych wieści. - Czy istnieje jakieś „my”?

- Chyba tak - odrzekła łagodnie - ale żebym się mogła bardziej upewnić, musiałbyś mnie pocałować.

Zobaczyła, jak zmęczenie znika z jego twarzy, a blask miłości rozjaśnia jego oczy, i już po chwili znalazła się w jego ramionach, przywarła do niego, jakby zbyt długo dryfowała po wzburzonym morzu.

A potem zatarcili się w pocałunku.

RS